Nr. 51 (1251). Warszawa, 4 (17) Grudnia 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od Redakcyi.

Pragnących zostać z nami lub przyłączyć się do nas, prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty.

Przez wzgląd na prenumeratorów, przybywających z następnym rokiem, nie chcieliśmy w ostatnim kwartale bieżącego rozpoczynać w dodatku nowego a zapowiedzianego dzieła J. M. Baldwina; w końcu grudnia przeto otrzymają nasi czytelnicy zeszyt 6-arkuszowy, zawierający tłomaczenie kilku szkiców Huxleya p. t. „Ewolucya i Etyka," a początek książki Baldwina — „Życie moralne i społeczne", w pierwszym kwartale 1905 r.

POLITYKA.

Mocarz za Atlantykiem.

Nawet tak zdolny człowiek, jak dzisiejszy, od listopada już z umyślnego wyboru, prezydent Stanów Zjednoczonych, dobrze napocić się musiał, zanim odjął pióro od ostatniego wyrazu swego orędzia na otwarcie w d. 6 b. m. kongresu wielkiej rzeczypospolitej. Orędzie to jest formalnym kieszonkowym traktatem, jakby *vade-mecum* obywatela amerykańskiego z pod stempla prezydentury. Obejmuje ono całość wewnętrznego życia społeczności amerykańskich w 45 stanach, o ile to życie i w tabelach statystycznych, i w kanonach polityki odbijać się musi i powinno, a załatwiwszy się z wnętrzem, wybiega na zewnątrz i daje widok ogromu z po za niego samego, w stosunku do świata politycznego, jako mocarstwa równego wśród równych. Na obu płaszczyznach rzutu Roosevelt ukazuje punkta, linie i figury zadziwiające rozpędem, z jakim je kreślił. Gdy w aktach tego rodzaju, jak wszelkie mowy tronowe i orędzia, zazwyczaj ci, od których one wychodzą, starają się mówić jak najmniej, a rozwodzą się tylko nad sprawami popularnemi, p. Roosevelt wzbija się ponad zwyczaje, formy, przesądy i w sprawach właśnie najogólniejszych, najmniej nadających się do roztrząsania w aktach państwa, zapuszcza w życie sondę jakiejś analizy dogmatycznej, wiarą we własną nieomylność, zastępującej obowiązek przekonania i innych o prawdzie.

Kraj kwitnie — rozpoczyna prezydent — rozkwitem swoim świat zadziwia. Kapitały ogromne, owoce pracy zdumiewające. Dzięki temu można myśleć o zaspakajaniu ustawicznych potrzeb publicznych. W ogromie rzeczypospolitej porządkowanie życia nie jest łatwem. Uregulowanie stosunku kapitału do pracy, rzucającego się przedewszystkiem w oczy, znajduje zapory w konstytucyi, która dzieli atrybucye w tym zakresie pomiędzy kongres i legislatury stanowe. Rząd związkowy jest prawie bezsilnym wobec zagadnień, które wywołuje z jednej strony troska o osłonę pracy, z drugiej potrzeba powściągania nadużyć robotniczych. Nad troską prezydent się nie zatrzymuje, wystarcza mu zapewnienie „szczególnej" opieki, ale za to do walki z nadużyciami wzywa wszystkich dobrych obywateli, wszystkich urzędników. „Nikt nie ścierpi wszechwładzy proletaryatu"— woła z wysokości prezydenckiego swego krzesła, niby z wysokości tronu. Wrażenie jednak jakby majestatu słabnie, gdy dochodzimy do ustępu o *trustach*, tej zakale życia ekonomicznego Ameryki, wyjątkowo tylko zdolnych do użytecznej dla ogółu działalności. Organizacye finansowe dla społeczeństwa niezbędne — mówi prezydent — powinny mieć właśnie ogół na widoku: wilk myślący o głodzie tych, których pożera. Prawa o traktatach trzeba, coprawda, uzupełnić, ale bez nienawiści, jedynie z niepokojem o obrót międzynarodowy. Gdy więc tam wobec robotnika p. Roosevelt wydaje hasło, dyszące nienawiścią, i używa nieprzyzwoitego w rzeczypospolitej wyrazu proletaryusz, tu wypuszcza na przyszłe rany trustów balsamy miłosierdzia. Nic dziwnego: sam do trustów należał, a swe prawdy ze stanowczością i nieomylnością monarchy wygłasza z tronu kapitalizmu.

Następuje cały szereg drobnych środków, ułatwiających kulturę materyalną lub porządkujących stosunki ekonomiczne zarobkowe i eksploatacyjne. Dowiadujemy się z tej części operatu, że i w Ameryce, jak w Europie, zaczyna się już wędrówka ze wsi do miast, jak niegdyś odwrotnie przez miasta płynął potok na obszary rolne. Z naciskiem mówi Roosevelt o konieczności zniesienia „zielonych pieniędzy" dolarów papierowych z czasów jeszcze powojennych (1861—5). Obawiać się można, czy wzmianka o Indyanach nie zapowiada im nowego wyroku zagłady. Prezydent nie chce znać różnicy między Amerykaninem w pierwszem pokoleniu a w drugiem i w dalszych. Wychodźcy są ludźmi, mają prawa człowieka, niechaj tylko w masie swej nie zarażają robotnika amerykańskiego grubymi swymi obyczajami. Oczywiście, dostało się tu i Polakom. Zabiera się potem p. Roosevelt do kobiety; wszystko dobrem dla niej być może, ale rodzina najlepszą: tam jej obowiązek, tam żądza najprawowitsza, tam i największy społeczny

pożytek. Bez czystego, gospodarnego i zdrowego ogniska domowego nie można sobie wyobrazić społeczeństwa żyjącego normalnie; zwłaszcza pomyślność robotników od dobrych żon i matek głównie zależy. Jak dla Napoleona, tak dla Roosevelta kobieta jest na tym świecie przedewszystkiem do rodzenia dzieci; gdy ten obowiązek spełnia, może dopiero o innym pomyśleć. Prezydent jest jednak względnym, mówi o typie, a nie o indywiduum; nie od każdej kobiety, indywidualnie żyjącej, wymaga—rodzenia dzieci.

Na zewnątrz Stany Zjednoczone są już i muszą być mocarstwem, są już wielkiem, powinny być coraz większem. Nie godzi się bez ośmieszenia samego siebie wygłaszać wielkich frazesów, jeżeli dla poparcia ich nie ma się siły, a gdy już taki nakaz ciąży na jednostce, o ileż potężniej przytłaczać musi ogrom z milionów ludzi i milionów akrów wytworzony—państwo w świecie politycznym wpośród innych żyjące! Można wprawdzie ani wielkich, ani małych frazesów, czy to jako jednostka, czy jako państwo, nie wygłaszać; można tylko interesów swych bronić i interesa swe przeprowadzać, a przytem wypowiadać w potrzebie jakieś słowo stanowcze, będące już czynem moralnym czy umysłowym, który sam honor, jeśli już nie interes, nakazuje poprzeć materyalną siłą. Ale to, co mówi Roosevelt, używając „frazesu," jest zupełnie słusznem: kto chce żyć, musi mieć siłę do życia i środki do bronienia go złożone w sobie i w innych. Stany Zjednoczone są dziś mocarstwem, są jednym z lewiatanów, żerujących pod powierzchnią oceanu, zwanego światem politycznym; bez potęgi, bez wspólnictwa z innymi, bez ciągłego wpływania do spraw ogólnych i w ogólne przez współzawodnictwo zamienianych — już się dziś ostać nie zdołają. Dlatego muszą mieć i swą siłę zbrojną, i swą dyplomacyę pilną, w dobry słuch wyposażoną. Prezydent wręcz mówi, że kwestya mocarstwa jest kwestyą floty, a zapewnienie jej rozkwitu pierwszym obowiązkiem każdego Amerykanina. Kiedyś, kiedyś nastanie pokój, i trzeba go pragnąć na zasadzie sprawiedliwości, zapobiegającej krzywdzeniu jednych narodów przez drugie; ale dziś rozbrojenie się zwłaszcza wielkich ludów, tj. państw cywilizowanych byłoby powrotem do barbarzyństwa. Dopóki niema nad państwami władzy je powściągającej, dopóty państwa muszą być silne. I to jest rzeczywiste przekonanie p. Roosevelta. To wszystko, co mówi o pokoju, o prawach narodów, o sprawiedliwości—wobec tego, co mówi o zbrojności zwłaszcza wielkich olbrzymów, dla pokoju właśnie najniebezpieczniejszych a dla postępu szkodliwych — jest tylko splotem czczych frazesów, w które on sam nie wierzy. Takich dziś ma mentorów, taką dziś jest rzeczpospolita Waszyngtona, Jeffersona i Kościuszki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdobycie wzgórza 203-metrowego, którego wysokość, świeżo przez dziennikarzy obliczona, ma wynosić rzeczywiście o 8 metrów więcej, zapewniło Japończykom wiele korzyści. Okupiwszy zdobycie w d. 30 z. m. niesłychanemi ofiarami i męką, po zdobyciu nie szczędzili energii, aby jak najprędzej zatoczyć wielkie swoje działa, którym z pomocą przyszły jeszcze i pozostawione w fortach. Okolicznością, sprzyjającą im, było milczenie fortów najbliższych, pozwalające na uzbrojnienie zaczepne zdobytego stanowiska. Po dokonaniu tego mogli już skierować ogień wewnątrz samej warowni wraz z portami i obu miastami, starem, chińskiem i nowem, rosyjskiem. Cała flota, w portach stojąca, znalazła się pod strzałami, a jak poprzednio z fortów nie było ognia na owo 203-metrowe wzgórze, jednoznaczne zupełnie z Górą Wysoką, na zachód od Portu Artura leżącą, tak i teraz okręty wcale się nie broniły, a warownie najbliższe napaści japońskiej ogniem swym nie powstrzymywały. Wynik był nieodwrócony: okręty albo uległy zupełnemu zniszczeniu, albo też doznały uszkodzeń uniezdolniających je do działania. Fakt potwierdzają depesze japońskie, z których skorzystał nowy organ rosyjski, wychodzący w Warszawie, aby wieści próżno nie taić. Ujawnionych doniesień urzędowych niema. „Sewastopol" ocalał, chroniąc się za skałę.

Domysł, że braknie już obrońców, znalazł potwierdzenie podczas tego bombardowania floty zamkniętej w porcie. Na okrętach nie było widać nawet obsługi; jakby martwe, ani drgnęły. Obsługę wyciągnął był gen. Stessel na ląd: gdzie jej potrzebował dla uzupełnienia szeregów, walczących przeciw ustawicznym napadom japońskim. Podawana przez korespondentów angielskich siła obecna garnizonu na 6 do 7 tys. najprawdopodobniej nie jest wyższą, a w gorszym może jeszcze stosunku zeszczuplały środki i zasoby twierdzy w amunicyi i żywności. Konserwy, mięso ośle, suchary — to wszystko, co ma żołnierz; mąkę nawet rzadko już zobaczy. Wszakże przy wielkiej przedsiębiorczości generała Kondratienki, który jest rzeczywistą duszą obrony, przy zaprawieniu się żołnierza nietylko do boju, ale i do samego męztwa, które w tłumach, zwłaszcza zamkniętych, inne ma prawa i inną istotę, inne też objawy, niż w psychice indywidualnej — twierdza względnie długo jeszcze bronić się może, jeśli tylko Chińczycy dowiozą jej żywności, a dowódca oszczędzać będzie amunicyi. Ostatecznie załoga zamknąć się będzie mogła we wspaniałym Laoteszanie.

Admirał Rożestwenskij zapewne już zasilił się w kolonii niemieckiej afrykańskiej i zbliżył się do Przylądka Dobrej Nadziei. Czekały go tam burze; może się nawet z niemi już pasuje. Węgli dostarczają mu nietylko porty z obowiązkową na 24 godzin gościnnością, ale i węglowniki handlowe, niemieckie, również i angielskie, niebiorące do serca zakazu balfourowskiego: głos ministra jest poważnym, ale szelest czeku na tysiące funtów ma także swą powagę. Na oceanie Indyjskim wyborne stacye znajdzie admirał u Madagaskaru. Przyjaźń francuska nie zawiedzie narodu sprzymierzonego. Oba oddziały: Suezu i Przylądka połączą się na południe od Hindustanu — jak prędko?

Przypuszczając dzielność jak największą, warunki jak najprzyjaźniejsze, nie biorąc w rachubę wypadków tak niespodziewanych, jakim było zajście u Dogger Banks, przewidywano tu przypłynięcie admirała na wody chińskie po

---

Arne Garborg.

MORZE.

Zegarek wskazywał pięć minut po dwunastej, o pół do pierwszej miano go pochować. Mogłem więc jeszcze posiedzieć chwilę.

Na dworze było mokro i brzydko, ot taki przykry, dżdżysty dzień powszedni, jak przeważnie bywa w Chrystyanii. Było to pierwszego lutego. Mój przyjaciel, redaktor dziennika i ja siedzieliśmy sobie zacisznie w kawiarni wonnej i ciepłej. Sherry było niezgorsze, i mieliśmy o czem rozmawiać, mianowicie o „położeniu"

A ono tak" się przedstawiało, że nowy Sejm miał być dziś otwarty o godzinie pierwszej przez samego króla Oskara II i że ten sejm właśnie miał rozstrzygać ważne kwestye.

Redaktor utrzymywał, że wie, co będzie zawierała mowa tronowa, a mianowicie nic. Ale w gruncie rzeczy byliśmy ciekawi. Nikt nie mógł przewidzieć, na jaki pomysł wpadnie gabinet Selmera.

Wtem, jak wspomniałem, spojrzałem na zegarek. Zaczęliśmy jeszcze rozmawiać o tym, którego miano chować.

Należał on, podobnie jak ja, do braci piszącej. I nie był bez talentu. Posiadał dużo ognia i miał niezwykłą zdolność wynajdywania prawdy, czego mu najwięcej zazdrościłem. Niezaprzeczenie był też poetą. Ale nie miał uznania. Może mu brakło zaufania w swoje siły, może zbyt dobrze rozumiał świat, może był za dumny lub cokolwiekbądź innego, ale nie ulegało wątpliwości, że nie miał uznania. I umarł w dwudziestym dziewiątym roku życia. Leży martwy w rządowym szpitalu, cichy i spokojny. O ile mi wiadomo nie wykończył ani jednej z licznych prac, które, wiedziałem, rozpoczął i zapewne cenił.

Jakiś chłód powiał nagle na nas. Redaktor właściwie niewiele znał tego człowieka, wcale prawie go nie znał, ale zdawał mu się niemiłym. Wychyliliśmy kieliszki. Redaktor zapłacił za dwie kanapki z szynką, i zamieniliśmy jeszcze kilka słów o położeniu.

Zadzwoniłem i ja, zapłaciłem i wyszedłem. Brakło piętnaście minut.

— Do widzenia! Ty nie idziesz? Nie, redaktor, niestety, musiał być obecny na otwarciu sejmu.

Skręciłem w Askersgata w zamiarze dostania się co prędzaj na cmentarz Vor Frelser.

Ciekawy zbieg okoliczności: właśnie na pogrzebie, na tym samym cmentarzu, zetknąłem się raz ostatni z moim zmarłym kolegą. Było to przed miesiącem. Chowaliśmy wtedy jakąś panią, jakąś bardzo poważaną damę, żonę wybitnego męża stanu z lewicy. Zauważyliśmy wtedy obaj, że w całym tym dużym orszaku nie było ani jednego konserwatysty. A ci, którzy byli, czuli się tu obcy. Między innymi znalazł się tam biedny jakiś oficer, którego z domem łączyły stosunki, więc nie mógł usunąć się od udziału, choć jako konserwatyście było mu niemiło w gronie postępowców. Obrał więc drogę pośrednią: przyszedł w ubraniu cywilnem, a podczas mowy pogrzebowej w kaplicy ukrył się w kącie tuż przy wejściu. Bawiło nas to niezmiernie. W drodze rozbieraliśmy też „położenie." Mówiliśmy o całej tej pracy, która idzie na marne w takich stosunkach państwowych, jak obecne i o tem, jak małą może być chęć do niej, skoro się żyje w naprężeniu z dnia na dzień, od rana do wieczora. Potem, przypominam sobie, mówiliśmy o mowach pogrzebowych. Utrzymywaliśmy, że gdyby je spisać możnaby sprzedawać potrzebującym. Niepodobna wymagać od księży, którzy od ośmnastu wieków stają nad grobami, aby wymyślili coś nowego. Nam się zaś zdaje, że słyszymy niby katarynkową melodyę, wszystko to, co już umiemy na pamięć. Mój przyjaciel niewiele przywiązywał wagi do mów pogrzebowych. A właśnie dziś mieli przemawiać nad jego grobem. Dobrze przynajmniej, że nie będzie słyszał.

Nagle wstrzymałem tok myśli. Przez

opuszczeniu europejskich w ciągu dni 60. Rzeczywistość znacznie ten termin przedłużyła: zaledwie na początku lutego spodziewać się może flota rosyjska dotarcia do celu. Posuwanie się jej pomiędzy Sumatrą a Malakką lub Jawą, przewijanie się przez cały wyspozbiór sundzki będzie bardzo powolnem, z wielkiemi ostrożnościami połączonem, a ostrożność tam, w Azyi, o wiele mocniejszą będzie miała podstawę w rozumie, niż tu na morzu Północnem, gdy z zupełną logiką domniemywać się można Japończyków na wschodnim oceanie Indyjskim. Teraz już nieliczna flota japońska pod wodzą Uriu otrzymała rozkazy zapieczętowane i wypłynęła na morze. Prawdopodobnie admirał Togo wyruszy na spotkanie, jeśli los Portu Artura przed końcem stycznia się rozstrzygnie.

Na widowni lądowej wszystko po dawnemu. Mróz dochodzi już do 17 stopni. Nowem jest śmiałe zapędzenie się oddziału jazdy rosyjskiej aż na południe Bania-pudzy, bez strategicznego jednak znaczenia. Jest to stanowisko tak ważne, że wyparowanie z niego Japończyków równałoby się ich klęsce. Zresztą na liniach czołowych drobne tylko utarczki, i to coraz rzadsze; doniesienia o nich sięgają do 13 b. m.

W Europie dużo sejmowego hałasu narobił p. Bülow jedną swoją mową o wojnie i o bezstronności niemieckiej podczas wojny, przytem oćwiczył dziennikarzy i humorystów za niesprawiedliwość względem Rosyi, i drugą o wojsku, które, jak wiemy, ma być znowu o 10 tysięcy wzmocnione, a przedtem już zaopatrzone w oficerów, kanonierów itd. Wiadomo, że kanclerz, dla ułatwienia sobie i wymowności, i głębokości politycznej—na zawołanie, zbudował sobie katarynkę ze śpiewkami na temat bezpieczeństwa. Poruszył korbę i teraz w drugiej mowie sejmowej: dopóki we Francyi są zachcianki odwetowe itd. A gdzie on to widzi te zachcianki, dziś, gdy kwestyę alzacką rozwiązuje sam wydział krajowy alzacki, i rwie się do Niemiec, do organicznego z niemi związku, a Francya, z wyjątkiem najgorszej kupy, jaką wytwarzają nacyonaliści, wcale już o odwecie nie myśli? Kanclerz zmyśla pobudki nieistniejące, aby zataić rzeczywistą i bardzo poważną. Jest nią obawa przymierza rosyjsko-francuskiego, którego cel jednak dziś pada daleko od odwetu, jeżeli wogóle w tym związku jest jakiś cel świadomy, korzyści przyszłe rozumnie kształtujący.

P. Roosevelt na d. 6 b. m., zagajenie kongresu, przygotował cały operat o konieczności wzmocnienia się Stanów Zjednoczonych, jako mocarstwa. Są tam i inne rzeczy, życia wewnętrznego dotyczące, ale ta teza mocy nazewnątrz wszystkie inne przytłacza. Sens moralny: dawajcie jak najwięcej pieniędzy na flotę. Czego żaden w Europie nie powiedział monarcha, to wyszło z ust prezydenta Unii: rozbrojenie się wielkich mocarstw oznaczałoby powrót do barbarzyństwa. Obecny proces duchowy Ameryki jest nieskończenie ważniejszym od jej pancerników teraźniejszych i przyszłych.

W Austryi Rada państwa d. 10 b. m. nagle odroczona. W Peszcie pierwsze posiedzenie pod rządami prezesa Daniella odbyć się miało 13 b. m. Liberalni zbiegają wciąż z pod sztandaru. W programacie rządowym leży uchwalenie normalnego regulaminu.

We Francyi p. Combes z powodu systematu denuncyacyi otrzymał był w Izbie większość tylko 2 głosów, ale szybko zyskał 30-głosową i pozostał. Postanowił on jak najprędzej dokonać rozdziału kościoła od państwa.

W Serbii Gruicza zastąpił Pasicz z radykalnymi obu odcieni.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Należy przypuszczać, że bez względu na ogrom ogarniętych reformą pytań, Japonia umiałaby je przeprowadzić, opierając się na nabytem we własnym kraju doświadczeniu. Ale z końcem wojny znaczenie jej w Korei osłabło. Ta sama koalicya państw, która zmusiła ją do zwrócenia Chinom Portu Artura, zaczęła czynnie mieszać się do jej polityki korejskiej. A ponieważ Japonia popierała politykę postępową, więc z natury rzeczy mocarstwa europejskie wzięły pod swą opiekę partyę zachowawczą. Na czele tej ostatniej stanął, zagrożony w swym wpływie i dochodach, rozwielmożniony na wszystkich urzędach ród Miń, używając, jako narzędzia dworskich intryg, królowej, swej krewniaczki, istoty ograniczonej, okrutnej i zabobonnej, otaczającej się astrologami, wróżbitami i czarownicami.

Przebiegły Tä-uön-guń spiskował na swoją rękę. Dnia 19 kwietnia 1895 roku aresztowano wnuka jego, księcia I-dzuńjon, obwinionego o udział w zamachu na życie króla oraz o współdziałanie w zabójstwie wiceministra sprawiedliwości, Kimchak-u, wybitnego członka partyi reform. Książę był skazany na 10 lat wygnania. Daremnie Tä-uön-guń błagał, aby jego zesłano zamiast młodzieńca, nie pozwolono mu nawet towarzyszyć wnukowi na wygnanie. Ojciec skazańca, I-dzä-mión, również usunięty został od władzy. Wkrótce potem obwiniono o zdradę państwa i spisek na życie króla głowę gabinetu, dzielnego i postępowego Päk-jöń-ho, który uniknął srogiego losu tylko przez szybką ucieczkę do poselstwa japońskiego. Było widoczne, że partya urzędnicza bierze górę, zamierzone reformy zostały powstrzymane lub istniały li tylko na papierze, niewprowadzane i nieszanowane przez nikogo. Prześladowania mnożyły się.

Dnia 26 września urządziła partya reform powtórny zamach stanu z pomocą Japonii; oddział żołnierzy japońskich usiłował zająć pałac, Korejczycy wpadli do wnętrza, w walce została zabita królowa i minister dworu w oczach przerażonego króla. Zamach, choć dał chwilową przewagę postępowcom, miał złe skutki, gdyż wzburzył przywiązany do dynastyi lud i spowodował jawne już wmieszanie się państw europejskich, które zażądały od Japonii ukarania winnych. Urzędnicy tymczasem podżegali wszędzie ciemną tłuszczę, przeprowadzając z nadzwyczajną bezwzględnością błahe reformy, jak np. zakaz noszenia warkocza lub zmianę kalendarza, zostawiając jednocześnie bez zmiany stare krzywdy i nadużycia. Wybuchły rozruchy. Król uciekł do poselstwa rosyjskiego. Stamtąd wydał obszerne orędzie w stylu chińskim, w którem, obłudnie bijąc się w piersi, znosił reformy, publicznie przed rokiem przez siebie zaprzysiężone, pod pozorem, że stały się źródłem cierpień dla „ukochanych poddanych.“ Rozumie się, że konserwatyści nie omieszkali urządzić po-

---

mózgownicę moją przedarło się niejasne jakieś wspomnienie: przecież nie na tym cmentarzu mają go pochować. Gdzieśindziej, ale Bóg raczy wiedzieć gdzie? na Sofienlund? nie, Sofienberg, na Dunderen i Valid, gdzieś pod Grünerlökka. Na cmentarzu dla ubogich przecie. Tha—pod pewnym względem to i najsłuszniej. Ale jakim cudem ja się tam teraz dostanę?

Tramwaj! Ależ naturalnie. Puściłem się szybko w drogę, chociaż błoto i kalosze przeszkadzały mi bardzo.

Kiedym znalazł się tak blizko wozu, żem go widział, ale nie tak jeszcze, żebym mógł wskoczyć, ruszył dalej. Tramwaje mają to do siebie. Dawać znaki, nie pomoże, właśnie skręca pod aptekę „Pod słoniem.“ Trzeba będzie przeczekać pięć minut. Widocznie przyjdzie się spóźnić, nie może być inaczej. Ale teraz muszę już wsiąść koniecznie. A jeżeli nie będę słyszał całej mowy pogrzebowej?—no, Boże mój! trzeba to będzie przeboleć.

Tak rozważając, przeszedłem na chodnik pod kościołem Vor Frelser, oczekując następnego wozu. I znowu opadły mnie wspomnienia.

Gdzieśmy się to rozstali wówczas? Aha, na Youngstorge, przypominam sobie dokładnie. Na rogu Torggata. Tam przystanęliśmy jeszcze nieco i obgadywaliśmy policyę chrystyańską. Ostatnie moje słowa były niewątpliwie: Do widzenia, spiesz się na obiad!

Wyglądał mizerniej, niż zwykle. Siłaczem nie był nigdy, ale zdawał się energicznym, czynnym, umiejącym sobie dawać radę w każdem położeniu. Było coś hardego, wyniosłego w tym drobnym, szczupłym mężczyźnie, a z czoła jego biła duma. Upłaz górski tak stromy, że jest zgoła niedostępny, wiedzący o tem, mógłby wywołać podobne wrażenie. Oko patrzyło z dobrotliwem szyderstwem, z pod powiek strzelał uśmiech, cienkie usta można było nazwać pięknemi, a nos mały, ostrolinijny umiał się w górę podnosić z taką zuchwałą dumą! Jak on świetnie wyglądał, wojowniczo w całem tego słowa znaczeniu; jak oko mu błyszczało, a cała drobna, chuda twarz jaśniała radością, gdy znalazł wyraz dostatecznie gryzący lub porównanie trafne, kiedy był w dobrym humorze, naprzykład podczas uczty, gdy podniósł się i przemawiał „na cześć radcy stanu Selmera, który był jako ów stary świerk od wiatru pochylony, wyrastający ponad bagniskiem, ciemniejący, tracący gałęzie i opuszczony przez ptaki niebieskie“ lub „na cześć“ konserwy, która przepowiada swój blizki koniec, nie troszcząc się o to, jak się wreszcie sprawa rozstrzygnie, albo gdy w kółku dobrych znajomych puszczał się na żarty i drwiny z tego, co w jego oczach *nie było* świętością! Żaden zwrot nie był mu za silny, gdy się rzucał na wszystko „co zgniłe“, co „przeżyte“ na wszystko, co „stało na drodze i tamowało rozwój lub co „leżało i rozkładało się szeroko, a zacieniając, dławiło wszelkie życie“. Widziałem też to oblicze blednięjące od ognia wewnętrznego, kiedy oko—mieniąc się zielonością—rzucało iskry elektryczne, gdy z zapałem mówił o tem, co „pcha sprawę naprzód“ i o tych, którzy „idą przed siebie.“

Ale ostatnim razem, kiedym go spotkał, nie był takim... przeciwnie zdawał mi się cichym, smutnym. Nikły, żółty zarost okalał mu wargi i spiczastą brodę a twarz miała wyraz zniechęcenia i znużenia. Oczy wpatrzone przed siebie wydawały się większe, niż dawniej, w białkach ich zauważyłem jakiś błysk szczególniejszy, którego przedtem nie dostrzegłem. Gdy się uśmiechał, nie było już w tym uśmiechu wyższości, słodycz jedynie, a głos miał miękki, jakby złamany. Widocznie był wtedy niezdrów. Ale jeszcze się trzymał jako tako. Mimo to doznawał czasami dziwnych uczuć, opowiadał mi naprzykład, że idąc spokojnie, zdawało mu się czasem, iż ulica podnosi się z nim razem, a on idzie niby górą, po powietrzu. Sam rozumiał, że to osłabienie. Ja dodałem od siebie, że powinien uważać, bo tego rodzaju objawy, chociaż niegroźne, nie są dobre. Przedewszystkiem radziłem mu żyć inaczej, innemi słowy trochę lepiej a przytem wystrzegać się wszystkiego, co mogłoby mu głowę zaprzątać. Niewiele odpowiedział na moje życzliwe słowa, lękam się,

lowania na swych przeciwników. Prezes ministrów, Kim-chon-cziu, oraz minister rolnictwa, Dzun-phun-cha, zostali zamordowani, innych obronili żołnierze japońscy.

Pobieżna nawet znajomość warunków, w jakich żyje monarcha korejski, każe przypuszczać, że jest on literalnie więźniem swego otoczenia i kroku zrobić nie może bez wiedzy i woli ministrów oraz eunuchów. Do poselstwa została zwolana komisya, składająca się z kilku dygnitarzy korejskich, dwóch Amerykanów, Anglika Mac Levi Browna, oraz naturalizowanego w Ameryce Koreyczyka, dr. Filipa Jaisohna. Miała ona niby to przejrzeć i poprawić reformy, wprowadzone w ciągu ubiegłych trzech lat, lecz zamiast tego musiała obradować nad manifestem królewskim, który w dziewięciu punktach ustanawiał na półwyspie dawną monarchię nieograniczoną. Jedynie jasnym rysem tego ukazu było przyznanie zupełnej niezależności Korei [1]). Komitet ministrów (na-gok), który w myśl Japończyków miał być zawiązkiem przyszłego parlamentu koreyskiego, został znowu zastąpiony przez starodawną Radę państwa (yj cziön-bu [2]).

Japonia pospieszyła zawrzeć z Rosyą umowę, zapewniającą jej prawo utrzymania małych oddziałów strażniczych w Seulu, Fuzanie, Genzanie oraz wzdłuż linij telegraficznych. Rosya wzamian osadzała w swem poselstwie w Seulu oddział równej siły [3]) i brała w swe ręce przewodnictwo w polityce koreyskiej.

W czasie pobytu w poselstwie rosyjskiem Ik-siön rozdał Europejczykom liczne i bogate koncesye na budowę kolei żelaznych, eksploatacyę bogactw mineralnych i leśnych. Rosyanin Brunner uzyskał słynne pozwolenie na poręby leśne nad rz. Jału i Tumańhań, oraz dostał 20-letnią dzierżawę w. Dagelet, zapewniając Rosyi panowanie nad wschodniem pobrzeżem Korei. Ces. koreyski wysłał po raz pierwszy do Europy przedstawiciela na koronacyę Cesarza Rosyi. Wogóle garnął się nie tyle do europejskiej kultury, co do europejskich Dworów. Jednocześnie pospiesznie budowano nowy pałac królewski w pobliżu poselstw. Po jego ukończeniu monarcha opuścił dom przedstawiciela rosyjskiego, spędziwszy w nim prawie rok cały.

Na krótki czas przedtem założono kamień węgielny pod budowę „Arki Niezależności" w tem samem miejscu, gdzie przed r. 1895 stała „Brama powitania" i lenni królowie koreyscy obowiązani byli spotykać przyjeżdżających z Pekinu posłów bogdychana. Wzniesienie tej arki pamiątkowej było sprawą słynnego patryoty koreyskiego, So-czaj-piła. Ten szlachetny i wysoce ukształcony Koreyczyk spędził 11 lat w Ameryce, stał się obywatelem amerykańskim pod imieniem dr. Filipa Jaisohna; tak zabezpieczony od gwałtów rządu ojczystego, wrócił do Korei i oddał się cały jej odrodzeniu. Został radcą Rady Cesarskiej i zaczął wydawać po angielsku i koreysku gazetę *The Independent*, założył słynny „Klub Niezależności" (Tą-miń-hopen), który cieszył się ogromnym wpływem i powodzeniem. Miał ten klub około 2,000 członków. Sam król popierał go z początku. I gazeta i klub miały na celu poprawę obyczajów i instytucyj, szerzenie oświaty, obronę uciśnionych, walkę z przesądami. Pierwotnie klub unikał pilnie tak zwanej polityki, ograniczając swą rolę do celów wychowawczych; życie wszakże okazało się potężniejszem i rychło zmusiło go do wyjścia z ramek zakreślonych.

W jesieni 1897 roku zmienił król odwieczny swój tytuł „Kuk-oan" (kierownik królestwa) na Choan-czie (chińskie Chuandi) — cesarza, starodawną nazwę swej dynastyi „Dzo-sioń" na „Tä-hań" — Wielkie Hań (państwo); rządom swym nadał nazwę Koan-mu, od czego 1897 rok przyjęcia tytułu zwany jest „pierwszym rokiem ery „Koan-mu." Na parę tygodni przed tem przybyło do Seulu 3 oficerów i 10 żołnierzy rosyjskich, zaproszonych, jako instruktorowie przybocznej gwardyi cesarskiej. Przyjechał również p. K. A. Aleksiejew, mianowany doradcą ministra skarbu na miejsce Anglika, M. L. Browna, który miał powierzony sobie nadzór nad dochodami skarbu i komorami celnemi. Wielkie koncesye, szczodrze udzielane kapitalistom cudzoziemskim, zaniepokoił poważnie patryotów koreyskich. Pod ich naciskiem „Klub Niezależności" podał następującą prośbę do tronu [1]):

„My, Waszej Cesarskiej Mości korni poddani, pragniemy zaznaczyć, że dwa ważne czynniki stanowią o niepodległości i potędze państwa, mianowicie: popierwsze, państwo nie powinno nawet pośrednio dopuszczać cudzoziemców do spraw administracyi narodowej; powtóre, sama ona powinna się wzmacniać przez mądrą politykę i utrwalenie praw w królestwie. Niebo obdarzyło Waszą Cesarską Mość władzą podtrzymania dwóch zasad powyższych.

Przyczyną wzniesienia Arki Niezależności i utworzenia naszego klubu była cześć dla Tronu Waszej Cesarskiej Mości oraz chęć wzmocnienia serc ludu, aby przez to utrzymać Dynastyę na Tronie i ocalić niezależność narodu.

...Jedynym środkiem utrzymania porządku i przyspieszenia rozwoju życia narodowego jest przyznanie słusznej siły prawu oraz wydanie odpowiednich rozporządzeń i uporządkowanie instytucyj rządowych. Lecz władze lekceważą tak dawne, jak i nowe prawa, a rozporządzenia, zasady i instytucye stały się literą martwą. W takich warunkach jakże możemy przypuszczać, aby inne ludy wierzyły w zdolność naszego samorządu do dalszego istnienia. Nie wierzą w naszą siłę, wskutek czego skłonne są wglądać w nasze sprawy, a jeżeli im na to pozwolimy, pójdą dalej.

Niestety! Na obszarze 3,000 li żyje 15 milionów dusz, dzieci W. C. Mości, których obowiązkiem jest opiekować się Domem Cesarskim, bronić wolności i praw rządu naszego kraju. Ale przez ciemnotę i samolubstwo zapomnieli oni o wielkiem, chlubnem zadaniu obrony praw narodu. Nie winimy o to nikogo, prócz siebie. Wstyd nam wobec nieba i ziemi naszego niedbalstwa i nieudolności. Lepiej by nam mieć serca przebite i żołądki rozprute dla zbawienia naszej ojczyzny i praw naszych, niż ciągnąć bezużytecznie życie we wstydzie i poniżeniu, spowodowanem opieszałością w spełnianiu obowiązków.

Po tem wyznaniu kornie i jednogłośnie błagamy W. C. Mość, aby uważała dobro i intraty 15 milionów dusz, jak swoje własne, prosimy, aby cieszyła się, gdy one w pomyślności żyją, by płakała z niemi, kiedy są pogrążone w smutku i nieszczęściu, by współczuła ich porywom, płynącym z miłości dla ojczyzny, aby W. C. Mość podtrzymała siłę prawa w całym kraju.

[1]) „The Independent," r. 1899, nr. 12.

[2]) Korean Repository, 1895 r., nr 10.

[3]) Protokół Seulski, podpisany 14 maja 1896 r.

[1]) Podajemy ją w wyjątkach.

że go ubawiły moje rady lepszego urządzenia sobie życia.

Nadjechał tramwaj. Znalazłem w nim znajomego, który także dążył na pogrzeb.

Był to człowiek młody, dobrze wyglądający, ubrany przyzwoicie, w kapeluszu filcowym na głowie. Zachowanie się jego było spokojne, pewne siebie. A chociaż był Norwegiem, używał języka duńskiego, jak gdyby on dodawał mu znaczenia. Może być przyczyną tego było jego stanowisko—był bowiem nauczycielem.

Utyskiwaliśmy obaj, żeśmy zapóźno wyjechali. Jego wstrzymał tłum przed gmachem sejmowym. Wszyscy wylegli oglądać króla; wogóle widoczne było, że w tych dniach jakiś niepokój trawi umysły ludzi.

Wóz turkotał głośno po Storgacie. Musieliśmy krzyczeć, chcąc się słyszeć, ale mój znajomy miał głos donośny.

W przerwie rzuciłem pytanie, dotyczące zmarłego.

— Ha, biedny chłop — westchnął — mógłby żyć jeszcze. Właśnie teraz byłoby go to ożywiło, gdyby się znajdował na uroczystości otwarcia sejmu... wszak tak lubił życie publiczne.

Przyznałem mu słuszność a potem zapytałem, czy był u niego w czasie ostatniej choroby.

Tak, należał do tych dwóch lub trzech sprawiedliwych, którzy odwiedzali go czasami. Ale niemożna go już było ożywić. Obojętny był na wszystko.

— Bez przytomności?

— Nie, nie to. Ale zgoła zobojętniały. Nie pamiętał nic, niczem się nie interesował. Gdy go się o co pytano, odpowiadał przeważnie bez związku.

— A więc to głowa?

— Wszystko razem. Był całkowicie wyniszczony. Zdaje mi się doktorzy mówili coś o tuberkułach w całym organizmie. Nie było w nim już nic soków żywotnych.

— Bardzo cierpiał?

— Nie. Czasami skarżył się tylko na ból głowy. Zresztą nie przypuszczał, że to coś poważnego.

— Czy rozumiał, że traci przytomność?

— Bynajmniej. Był przekonany, że myśmy pogłupieli, utrzymywał, że nie sposób rozmawiać z nami rozsądnie. A zwłaszcza doktora swojego podejrzywał. „On nie pożyje długo, ten chłop— mówił do nas — on już dziś jest poprostu nie przy zdrowych zmysłach "

— A czy jesteś pewny, że to nie ty tracisz czasem przytomność? — zapytałem.

— Jak mi Bóg miły, i to być może! — odparł.

Wyraziłem zdumienie, jak to wszystko prędko poszło. Dopiero co był tu, między nami, nie więcej jak przed rokiem, taki zdrów, pełen otuchy, jakim go rzadko widywałem. Zdawał mi się nawet zadowolony z życia, zamierzał się ożenić.

Tak, wtedy było mu dobrze. Ale to już był ostatek. Na ogół źle mu się powodziło w ostatnich czasach. Zdaje mi się, że nikt nie umiałby powiedzieć na pewno z czego się utrzymywał. Pisywał dość, miewał tu i owdzie odczyty, ale cóż mu to przynosiło? W szkole mógłby był otrzymać miejsce, ale nie chciał. Nie miał nerwów odpowiednich, a może i sił.

— A rodzina jego?

— Z familii miał tylko dwóch starych krewniaków, z tych jeden był bogaty. Ale cóż z tego, z bogatym krewnym pogniewał się...

— To było nierozsądnie z jego strony.

— Tak, zapewne. Zresztą właściwie nie on zerwał. Był dumą swej rodziny. Pamiętam dobrze jego przyjazd do domu: właśnie został studentem, wrócił, jak prawdziwy tryumfator, zdał dobrze egzamin, miał talent, zapał; był poetą, mówcą, wszystkiem—uważano go za coś wielkiego. Potem wrócił do miasta. Wtedy powoli dał się wciągnąć ludowcom, stał się Grundtvigianinem i liberałem—w końcu porzucił wszystko i został nauczycielem w wyższej szkole ludowej. Tem zamknął sobie przyszłość. Wszystko się skończyło.

(D. n.).

Z norw. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*



zazdrośnie chroniła rządy swe od wpływów cudzoziemskich, czego pokornie pragniemy. Jeżeli W. C. Mość zechce użyczyć swego współdziałania poddanym, jeżeli wyciągnie ku nim pomocną rękę, Dom W. C. Mości panować będzie nad krajem przez szereg lat nieskończony. W obliczu Nieba zobowiązaliśmy się złożyć nasze życie za ojczyznę i pokornie składamy przed W. C. Mością przysięgę, że zobowiązania dotrzymamy.

Prosimy W. C. Mości, aby przyjęła zapewnienie prawowierności naszych uczuć dla Cesarskiego domu i dla sprawy naszej niepodległości" [1]).

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wybór zajęcia dla chłopców.

W zwykłych warunkach życia społecznego nietrudnem wydaje się zadanie dostarczenia pracy ludziom zdolnym. Co jednak uczynić z tymi, którym zajęcia dać nie można, bo do żadnego właściwie przygotowani nie są? A takich prawie całe zastępy żyją w każdem społeczeństwie, chcą jeść, odziewać się i mieć dach nad głową. W rozumnem gospodarstwie nie powinno być nieużytków; każdą siłę należy wyzyskać, żadnej, nawet najmniejszej niewolno odtrącić, bo jest ona cząstką dobra ogólnego. A tu tyle tej siły, częstokroć niepośledniej, idzie na marne. Duch słabnie, wola się rozprzęga, miłosierdzie bezradnie łamie ręce.

Czyby jednak nie przydało się, wobec trudności walczenia ze złem w stadyum jego pełnego rozwoju, zajrzeć w głąb, sięgnąć do źródeł jego, do samej kolebki istnienia? Wszakże tam najczęściej leży ziarno później wzrosłego posiewu. Dla rozwikłania przeto smutnego zagadnienia ludzi, stale pozbawionych zajęcia, sprobujmy rozpatrzeć się w najpierwotniejszych jego przyczynach.

Pierwszy krok w życiu stanowi często o całym jego przebiegu. Taką ważną chwilą jest dla każdego z nas wybór zajęcia, tej formy w jakiej następnie odlewać się będą nasze czyny. Aby nadać im twardość i moc spiżu trzeba stopić w jeden metal wszystkie różnorodne siły naszego ducha i ciała by harmonijnie, zgodnie działać mogły. Lecz aby nie popełnić omyłki trzeba znać te siły, badać je długo i z rozmysłem. Tymczasem prawie na wszystkich stopniach drabiny ludzkiej w tym razie rządzi nami głównie wypadek lub takie względy, które z istotą rzeczy nie mają nic wspólnego: ciasne pojęcie karyery, źle zrozumiane ambicye, cudza wola lub tradycya—i oto siła ducha, zważono w samym pączku, przemocą pchnięta w świat jej obcy, ginie wykolejona, złamana. Tak się dzieje na całym obszarze życia.

O tem jednak nie będziemy dziś mówić, chcemy bowiem zwrócić uwagę czytelników przedewszystkiem na sprawę tych wykolejonych, którzy zalegają niziny społeczne i stamtąd coraz głośniej wołają do nas o ratunek. Ciągną wciąż pułki głodnych, obdartych, ziębniętych, bezradnych, tłumy widm ludzkich — nie pomoże odwracanie oczu, zatykanie uszu; przyjść musi czas kiedy nawet ślepi zobaczą, głusi usłyszą.

Skąd jednak bierze się ich tyle? Szukają pracy i znaleźć jej nie mogą. Wielu od wczesnego rana do późnej nocy oblega biura, kantory stręczeń zajęć — zawsze prawie bezskutecznie. A jednocześnie pracodawcy narzekają na brak rąk zdolnych, ludzi wogóle odpowiednich. Jedni i drudzy kręcą się w jakiemś błędnem kole.

Pchnęła ich tam nieoględna ręka przypadku.

Mały chłopak, którego rodzice muszą zarabiać na utrzymanie, póki można, zbija bąki na swobodzie; jeśli nie chodzi do szkoły, bawi się z dziećmi sąsiadów. Nikt się nim nie zajmuje, nad jego skłonnościami nie zastanawia, charakteru jego nie bada; nawet w szkole nie zwracają na to uwagi: uczą czytać, pisać, rachować — i ot, wszystko. On sam najmniej wie o sobie, nie ma jeszcze jasnych pragnień, wyraźnie określonych upodobań. I w owej niezdecydowanej chwili, kiedy już tak podrósł, że rodzicom jego utrzymanie ciężyć zaczyna, a brak zajęcia dla niego niepokoić, nastręcza się jakieś miejsce do posługi w kantorze, drukarni, do sprzedaży gazet, roznoszenia listów, posyłek lub inne tympodobne zajęcie, niewymagające przygotowania, ani uzdolnienia specyalnego. Nie otwiera to żadnych widoków na przyszłość ale odrazu przynosi jakieś kilka rubli, nie do pogardzenia w budżecie licznych gąb, a niewystarczającego dochodu. I chłopak zaczyna zarabiać: biega po mieście spełniając polecenie, po drodze z przygodnymi znajomymi zgrywa się w guziki, karty, urządza interesujące wycieczki. Wysłany np. na ulicę Senatorską, znajdzie się najniespodziewaniej w świecie na placu Aleksandra. To się jednak nazywa, że czasu nie marnuje, na chleb zarabia. Rodzice są zadowoleni i chłopak także. Praca nieciężka a życie wesołe, niby dalszy ciąg tej swobody pierwszego dzieciństwa. Czas jednak nie stoi. Chłopak-wyrostek nie może już poprzestać na 6 rb. miesięcznie. Mieszkanie dadzą mu jeszcze rodzice, ale na życie i ubranie żądają by sam zarobił. I słusznie. Wiecznie przecie na ich utrzymaniu być nie może. Co jednak będzie robił? gdzie pójdzie? Nie nauczył się niczego, nie nabył żadnego uzdolnienia, a bardzo wiele nałogów próżniaczych. Rzeczywista, systematyczna praca nie pociąga go i nie zatrzymuje—sam on nie chce jej i jego nie chcą. Staje więc w szeregach wiecznie poszukujących zajęcia, a tylko doraźnie zatrudnionych. Skazany na poniewierkę losu, demoralizacyę, upadek, powoli stacza się coraz niżej, często na samo dno nędzy. A może miał w sobie jakąś siłę, jakiś dar, który z pożytkiem mógł był ofiarować swemu społeczeństwu, gdyby nie ten fatalny, pierwszy krok.

Mamy okolicę fabryczną, dajmy na to jak Żyrardów, tysiące ludzi znajduje tu zatrudnienie, zajęcia te jednak pozbawione są różnorodności. Czyż w tych warunkach mogą się wyrobić pracownicy o równej sile, zręczności, inteligencyi? Czyż chłopak, którego mus postawił przy warsztacie tkackim, nie osobiste upodobanie, nie wrodzona skłonność, znajdzie zadowolenie w swej pracy i wydobędzie z duszy tyle zapału, ile go niezbędnie potrzeba dla osiągnięcia pewnego stopnia doskonałości w swym zawodzie? Tu nie było prawa wyboru, w najlepszym więc razie można tylko liczyć na maszynowe wykonanie przeznaczonego zadania. Gdy jaki wypadek przyjdzie wytrącić go z kolei, taki słabo uzdolniony, bo niechętnie pracujący wyrobnik, zostanie odrzucony w ostatnie szeregi tych, którzy otrzymują tylko okruchy po szczęśliwszych i zdolniejszych. A może w kuźni, przy warsztacie ślusarskim lub u stolarza, tenże sam maruder pracy byłby dzielnym i gorliwym jej przedstawicielem? Niewolno w najskromniejszych nawet warunkach życia lekceważyć indywidualności człowieka, jednakowo szanować ją należy w synu lekarza, artysty, szewca i wyrobnika.

Przedewszystkiem każde dziecko powinno znaleźć pomoc i odpowiedni kierunek w wyborze zajęcia, jeśli samo nie objawiło wyraźnych w tym względzie skłonności. Rodziców, niezdolnych do spełnienia tego zadania, mogłaby zastąpić szkoła, gdyby nauczyciel zechciał, po za nauką czytania i pisania, głębiej wglądać w dusze swych uczniów. Wiemy dobrze, że dla myśli bacznej takie obcowanie z dzieckiem dostarczyć może dostatecznej ilości wskazówek, niezbędnych dla pokierowania jego losem.

Po za rzemiosłem lub fabryką są przecież jeszcze zajęcia, które dla chłopca otwierają widoki podwyższenia w stanowisku i wynagrodzeniu. Tylko od zaprzedania w niewolę lekkiego, łatwego a beznadziejnego zarobku ochronić go należy.

Jeżeli nie każde dziś dziecko może się dostać do szkoły, to jednak trzeba mieć nadzieję, że kiedyś będzie inaczej. Wogóle żadne nie powinno jej opuszczać przed ukończeniem lat czternastu. Szkoła elementarna ma dać pierwszą pomoc i przygotowanie praktyczne: ponad czytanie, pisanie i rachunki nic więcej w swym programie mieć nie potrzebuje; ale w tych ciasnych napozór ramach można zamknąć obszary rozwoju umysłowego — wyćwiczyć pamięć, rozbudzić myśl, zdolności spostrzegawcze i krytyczne. Niech każdy chłopak rozumie, co czyta, niech umie to opowiedzieć, niech też wie, jak list napisać i jak go zaadresować — a z tym zasobem uzdolnienia można go puścić bez obawy, że utknie gdzieś na drodze samorozwoju.

Spostrzeżenia nauczyciela nad charakterem i usposobieniem każdego ucznia, starannie notowane, mogłyby służyć za podstawę do wydania sądu o kierunku jego przyszłości. Gdyby obok tego powstać mogła jakaś instytucya, której zadaniem byłoby dostarczanie właściwego zajęcia takim w życie wchodzącym młodocianym pracownikom, możebyśmy w niej znaleźli najskuteczniejszą tamę przeciw tej wzbierającej i powodzią zagrażającej fali nieużytków, wykolejeńców — nieszczęsnych ofiar własnej lub cudzej pomyłki.

Praca nie jest klątwą człowieka, lecz jego dobrem, przyjemnością, zdrowiem. Spaczone warunki teraźniejszego życia odarły ją z właściwego jej wdzięku, uczyniły brzemieniem dla jednych, poniżeniem dla drugich, lecz przyszłość wróci jej piękność, dziś znaną tylko niewielu. Praca wolna da ukochanie swego zajęcia, zadowolenie i szczęście pracownikowi.

Js.

Herbert Spencer o małżeństwie.

W autobiografii Herberta Spencera, która właśnie teraz wychodzi po niemiecku staraniem prof. L. Steina z Berna i jego córki, znajduje się ciekawy list; znakomitego filozofa do jego przyjaciela Lotta, datowany d. 18 marca 1845 r. Spencer miał wtedy lat 24; Lott zawiadomił go o swych zaręczynach, i Spencer w odpowiedzi wyłożył mu swoje poglądy na małżeństwo i miłość, które chyba dziś jeszcze nie są przestarzałe.

1) Przypuszczam, że zgadzam się z Emersonem na to, że prawdziwa miłość między mężczyzną i kobietą opiera się na tem, że jedno jest dla drugiego ideałem. Możnaby dodać, że pierwszym warunkiem szczęścia w małżeństwie jest trwanie tego wyobrażenia ideału. A zatem postępowanie wzajemne powinnoby zawsze być takie, żeby nie znajdowało się w sprzeczności z obrazem jego. Dlatego jestem też tego zdania, że małżonkowie, zamiast, jak to zwykle bywa, w obecności swojej nie dbać o powierzchowność i poz walać sobie na zbyt-

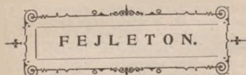
[1]) „The Korean Repository," r. 1898; str. 74.

nią poufałość, powinni jeszcze więcej troszczyć się o to jedno wobec drugiego, niż wobec innych ludzi.

2) Małżonkowie muszą uznać całkowite, wzajemne równouprawnienie, żadne nie powinno mieć większych pretensyj do władzy, niż drugie. Obecny stosunek mężczyzny i kobiety, w którym jedno rządzi postępkami drugiego, jest niczem innem, tylko pozostałością niewolnictwa, taki stan musi koniecznie niweczyć czystą miłości. *Albowiem jakże można istotę, którą się przez odmówienie jej równouprawnienia poniżyło, uważać jeszcze za wcielenie ideału?* Mnie się zdaje, że panowanie mężczyzny sprzeciwia się prawdziwej miłości, i jestem przekonany, że żaden dobrze myślący mężczyzna nie ma tak nizkiego pojęcia o godności swej żony, żeby mu przyszło do głowy jej rozkazywać, i że szlachetnie myśląca kobieta nigdy nie pozwoli na to, żeby jej rozkazywano.

3) Ostatnim wreszcie warunkiem jest, sądzę, żeby małżonkowie jak najmniej myśleli o łączącym ich węźle prawnym, lecz pamiętali zawsze o naturalnym łączniku sympatyi. Nie zdaje mi się, żeby najdoskonalsze szczęście opierało się na sankcyi prawnej, bo jeśli nie możemy nigdy pozbyć się jej z naszej świadomości, to sankcya ta będzie zawsze wpływać na nasze postępowanie. Powinniśmy tedy przedewszystkiem się starać wypędzić myśl o związku prawnym; mąż i żona powinni zachowywać się względem siebie w taki sposób, jak gdyby prawnego związku wcale nie było.

Gdyby ludzie byli mądrzy, toby zrozumieli, że miłość, którą Bóg nam wpoił, *jeśli nie została osłabioną sztucznymi dodatkami,* musi wystarczyć dla utrzymania małżeństwa. Gdyby ludzie tylko ten fakt uznali, wszystko byłoby dobrze. Pragnąć prawem ludzkiem połączyć coś, co Bóg połączył miłością, jest tak samo rozumną rzeczą, jak gdyby chciano przykuć księżyc do ziemi, aby naturalna siła przyciągania, jaka między niemi zachodzi, przeszkodziła im się rozłączyć."



LIBERUM VETO.

Bóle bezimienne i bezprzyczynowe.

Muza poezyi nowoczesnej ani razu dotąd serdecznie się nie roześmiała. Jest ciągle smutna: płacze, jęczy, przeklina, bluźni, rozpacza, bo — jak zapewnia — strasznie cierpi. Co jej głównie dolega? Oto jest właśnie najtrudniejsza z zagadek naszego czasu. Przypuszczam, że badacze prędzej znajdą bakteryę dewocyi, niż przyczynę bólów bogini natchnień modernizmu. Daremnie wsłuchiwalibyśmy się w jej gorzkie żale — niepodobna dostrzedz ich źródła. Zapytana albo milczy, albo odpowiada tajemniczemi słowami. Co np. odgadnąć można z takiego objaśnienia:

To mnie boli, że noc trąca
Srebrną lirę strun miesiąca.

Jesteśmy tak zmęczeni i rozdrażnieni przeraźliwymi a niewytłomaczonymi krzykami tej muzy, że uczulibyśmy dla niej ogromną wdzięczność, gdyby nam zupełnie odsłoniła powód swoich narzekań. Nieraz chciałoby się uklęknąć przed nią i wołać: Na litość nie dręcz nas dłużej i powiedz zrozumiale, co ci jest. Tylko zmiłuj się, nie mów nam o łzach, kapiących z oczu przestrzeni w urnę czasu lub o ważeniu się absolutu na ostrzu chwili, lecz odrzeknij wyraźnie, po ludzku, jak gdybyś miała nas nauczyć: co to jest sześcian. Uszanujemy twoje cierpienie, chociażby je zrodziła najbrzydsza zdrożność lub najniższe pretensye, abyśmy je tylko znali. Oświadcz nam: jestem zarażona trądem, więdnie mi mlecz pacierzowy, wpadłam w białą gorączkę, toczą mnie wszystkie nieuleczalne choroby i wszystkie podłe nałogi — nazwiemy cię czcigodną męczennicą. Więcej nawet, przyznaj się: ugaszczam rozpustników lub ograbiam z ostatniego grosza biedaków — jeszcze i wtedy za rozkosz pojęcia słów twoich rozgrzeszymy cię z przewinień. Ale gdy z bladą twarzą i wzniesionemi do góry oczami prawisz nam mistycznie: okryta szatą z płomienia leżę na falach zmarzłego morza, a słońce kradnie mi żar i blaski, zamieniając mnie w przezroczysty kryształ, w którym rozdziera swoje światło na prążki tęczy—albo pierś mi pęka od uderzeń serca rytmem wszechbytu — gdy tak prawisz, patrzymy na ciebie, jak na lekarza, któryby opukiwał i osłuchiwał łono wieczności.

Ta ciągłość żałobnych min i ta trudność usprawiedliwienia ich jakąś zrozumiałą przyczyną pozwalają mniemać, że muza poezyi nowoczesnej właściwie nie doznaje żadnych istotnych cierpień, ale kocha się w ich uroku i chętnie przyjęłaby takie, z których on najmocniej wybija. Nie może ona przecież ogłaszać, że poszukuje bólów mocnych a określonych, ale byłaby wdzięczna dobroczyńcy, któryby ich jej dostarczył. Wyrobiła bowiem sobie tyle nowych, pięknych a wstrząsających tonów skargi, tyle subtelnych odcieni żalu, tyle dosadnych wyrazów rezygnacyi, że gdyby jeszcze posiadała w swej duszy prawdziwe rany, oczarowałaby nas zupełnie smutnemi pieśniami. Zaiste, jest to bardzo dziwne, że ona ich nie posiada. Zwykłe powody jej utyskiwań i złorzeczeń są kosmiczne i metafizyczne. To dwa zakochane widma, idąc drogą mleczną i zrywając z nieba gwiazdy, niby kwiaty, spadły z ich wieńcami na głowach w otchłań bezdenną: to cisza, owinięta w szaty nocy, wsunęła się do samotnika i nastroiła jego duszę dziką melodyą zgrzytów; to praprzodek jaszczurów zapytał żmiję, dlaczego skąpi ludziom jadu; to kormorany, związawszy się w girlandę, opasały nią głowę śmierci. Wzlatywać między planety lub wskrzesać prajaszczury po to, ażeby wywołać w sobie błogi a przynajmniej majestatyczny stan cierpienia— to praca mozolna i bezcelowa. Bo naprzód kto uwierzy, że kormorany na czaszce śmierci sprawiają nam wielki ból, a następnie, gdyby nawet uwierzył, to jaki poważny sens ma takie złudzenie?

Tem słuszniej można o to pytać, że świat przedstawia dziś olbrzymie skarby materyału dla cierpienia. Wyjdźcie na jakąkolwiek ulicę i odczytajcie uważnie wyrazy na twarzach przechodniów albo nawet w domu odczytajcie kilkadziesiąt wierszy gazety. Nie często się zdarza tak obfite żniwo tragedyi. Jubilerzy artyzmu, pragnący szlifować bóle i oprawiać je w kunsztowne formy słowa, mają w dzisiejszej porze niewyczerpane kopalnie najrozmaitszych, wyjątkowo pięknych męczarni. Pod tym względem nasz czas jest poprostu rozrzutny. Na całym obszarze świata cywilizowanego widzieć można drgające serca, rzucane psom ze szlachtuzów, najrzadsze cnoty walające się w rynsztoku brudnych zaułków, genialne mózgi stopione na tłuszcz do lamp fałszerzy, siłę żywego wulkanu uwięzioną, jako motor do obracania kół młyna, mielącego ziarna blekotu, bohaterów ułożonych, jako schody lub zgiętych, jako poręcze domu zbrodniarzów, najwyższe bohaterstwo, omijane lub potrącane z takiem lekceważeniem, jak natrętna pospolitość. Całe stulecie spokojnego biegu dziejów nie dostarczy tylu przerażających obrazów, tylu potoków krwi i tylu gór trupów ludzkich, tylu wichrów jęku, co obecna wojna. Powtórzyła się w niej mitologiczna walka tytanów, w której człowiek uzbrojony niszczącą maszyną przewyższył ich swą potęgą. Miota on wielkie pociski daleko po za granice swego wzroku, spuszcza ogniste deszcze, rozdziera wybuchami ziemię, wysadza w powietrze olbrzymie statki, zabija ludzi prędzej, niż najpłodniejszy bóg grecki zdążyłby ich stwarzać. Z synów czasu i ziemi stał on się tak niebezpiecznym, że stary Jowiszę nie śmiałby go rozdrażniać. W tych starciach okropnych wytworzy się taka masa cierpienia, że go nigdy nie wyczerpią ani najdłuższe badania, ani najgenialniejsza poezya. Chociażby milczące cmentarze bitew zdołały wszystko wypowiedzieć, żywe dusze ludzkie nie mogłyby wszystkiego odczuć, bo wielkie bóle, jak wielkie arcydzieła, skopiować się nie dadzą. Każda wojna, a obecna w najwyższym stopniu, jest zarazem walką gladyatorów i tragedyą: pierwsza stanowi grę zapaśników i ucieczkę tłumu, druga dostarcza szlachetnym sercom głębokich wzruszeń. Pierwsza ma momenty radosne lub smutne, druga tylko smutne. Pierwsza opowiada kto wygrał bitwę — śmieje się lub płacze, druga — ilu w niej ludzi zginęło i zawsze płacze. Która zajmuje poetę? Czy jest on bliższym tego Marka Aureliusza, który odbierał doniesienia z placu boju, czy tego, który pisał rozmowy z sobą?

Zdaje mi się, że jeśli muza poezyi nowoczesnej nie chce być komedyantką boleści, wijącą się w udanych konwulsyach lub brząkającą na cymbałkach urojonego smutku, winna wrócić ze sfer międzyplanetowych na ziemię, zdjąć z twarzy maskę zagadkowego cierpienia i odczuć prawdziwe, rzeczywiste, to, którem życie przesiąkło nawskroś, które zmieszało się z sokiem jego żył i z powietrzem jego płuc. Jej synowie lubią przeprowadzać swą duszą przez rozmaite stany i nie oszczędzają jej najokropniejszych doświadczeń. Niech więc który z nich zaciągnie się jako ochotnik na wojnę, a gdy mu kula oberwie nogę, niech leżąc w błocie i słuchając jęku rannych skróci sobie czas czekania na opatrunek czytaniem jakiegoś zbiorku wierszy modernistycznych, opiewających boleść bezprzyczynową i bezimienną. Potem zaś niech napisze, co myśli o krynicy swoich nadziemskich zachwytów i znieczulenia na dolegliwości ziemskie, niech powie szczerze: czy go „to boli, że noc trąca, srebrną lirę strun miesiąca"?

My nie wybieramy sobie przedmiotów dla myśli i uczucia, lecz nam je daje życie. Otóż sądzę, że kto wobec wstrząsającego widoku cierpień w łonie ludzkości, wobec tytanicznego zwarcia się jej wrogich potęg, wobec zmierzenia się jej pierwiastków, żywiołów i zasad, wobec morza krwi, które ją oblało, kto wobec tego potrafi jeszcze skomleć rymami z powodu straconej miłostki, upartej czkawki rozpustnych wspomnień lub czarnej chmury, ten jest szczególnym kuglarzem, który tak ze słów wydobywa przeciwne im znaczenie, jak inny wstążki ze swego nosa.

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

Ruchy ciał żywych.

Ponieważ objawy ruchów postępowych, spostrzeganych wśród organizmów wolno żyjących (czyli t. zw. taxis) z jednej strony, a wychylanie się w tym lub w owym kierunku roślin i zwierząt stale do podłoża przyrośniętych (tropizmy) — z drugiej, wykazują wiele stron analogicznych, tak w swych zewnętrznych objawach, jak i w mechanizmie wewnętrznym, rozpatrywać je będziemy jednocześnie, równolegle.

Ze wszystkich jednostronnych podrażnień, pobudzających do ruchów dodatnich lub odjemnych, najwyraźniej, najszybciej, najdokładniej działają podrażnienia chemiczne. Odpowiednie doświadczenia, niewymagające żadnych urządzeń ani przyrządów skomplikowanych, powtórzone mogą być z łatwością przez każdego. W stosunkach zaś „międzykomórkowych" występują one najpospoliciej — tak wśród roślin, jak zwierząt; to też i znaczenie ich w życiu wewnętrznem organizmów jest niezmiernie wielkie.

Zacznijmy więc od *chemotropizmu*.

Nazwą tą oznaczamy zjawisko, polegające na przyciąganiu organizmów, samodzielnie żyjących, przez pewne ciała chemiczne, podrażniające je jednostronnie; jeżeli organizm pod wpływem takiego podrażnienia będzie się do źródła drażniącego zbliżał, otrzymamy zjawisko chemotropizmu dodatniego; oddalanie się organizmu od takiego źródła, działającego jak gdyby odpychająco, zwiemy chemotropizmem odjemnym.

Jednostronne zaś podrażnienie osiąga się wtedy, kiedy (w zjawiskach chemotropizmu) koncentracya, natężenie odpowiedniego ciała chemicznego stopniowo wzrasta od organizmu żywego w jakimbądź jednym kierunku.

Zjawisko to, dostrzeżone po raz pierwszy przez Engelmana na bakteryach, stwierdzone następnie przez Stahla na śluzowcach (grzybkach) zostało bardzo szczegółowo zbadane na różnych organizmach przez wielu biologów, przedewszystkiem zaś Pfeffera, Gabryczewskiego, Miecznikowa, Verworna i wielu innych.

Dzisiaj zostało ono wykazanem i opisanem u najróżnorodniejszych wolno żyjących komórek roślinnych oraz zwierzęcych i odgrywa niewątpliwie niezmiernie ważną rolę w normalnych, jako też i w patologicznych zjawiskach życia organizmów wielokomórkowych.

Stahl robił doświadczenia swe nad chemotropizmem u śluzowca Aethalium septicum w następujący sposób. Na wązkim, wodą zwilżonym pasku bibuły umieszczał, rozciągnięte w kształcie siatki, nitki plazmatyczne tego grzybka i pasek ten zawieszał na nitce w ten sposób, że jeden koniec jego z grzybkiem zanurzał się w wodzie pozbawionej tlenu, drugi zaś stykał się bezpośrednio z tlenem atmosferycznym.

Dla odosobnienia wody od powietrza na powierzchni jej (wody) umieszczał warstwę oliwy.

Jakoż, po dość krótkim czasie, śluzowiec wypełzał z wody i wchodził na wilgotną bibułę, otoczoną bezpośrednio powietrzem po nad oliwą.

Więc śluzowiec ten wykazuje chemotropizm dodatni względem tlenu.

Możnaby przypuścić, że śluzowiec unika wody, że tu występuje odjemny tropizm względem wody (hydrotropizm); tak jednak nie jest i łatwo się o tem przekonać, umieszczając ten sam okaz na suchej bibule, zanurzonej jednym brzegiem w zwyczajnej wodzie: śluzowiec bardzo prędko przepełznie z powietrza do wody.

Aethalium septicum wykazuje więc chemotropizm dodatni tak względem wody, jak i względem tlenu; jeżeli zaś działają nań obydwa ciała, wtedy przeważa wpływ tego, które jest wyłącznie jednostronne.

W doświadczeniu więc z aerotropizmem używać należy koniecznie bibuły wilgotnej, w przeciwnym bowiem razie przyciągające działanie powietrza będzie maskowanem przez przyciąganie wody.

Taki sam chemotaksis dodatni wykazują śluzowce i względem ciał, używanych przez nie za pokarm (t. zw. trofotropizm); zjawisko to odgrywa bardzo ważną rolę w sprawie odnajdywania odpowiednich ciał pożywnych i powszechnie występuje wśród organizmów jednokomórkowych, a—być może—i tych wielokomórkowych, które nie mogą wyszukiwać sobie pokarmu za pomocą zmysłów (szczególniej powonienia).

Wreszcie cały szereg badaczy, przedewszystkiem zaś Leber, Jean Massart i Miecznikoff dowiedli, iż własności chemotropizmu występują wybitnie i wśród t. zw. leukocytów (białych ciałek krwi) u kręgowców. Dowiedzionem właśnie zostało, iż dzięki takiemu chemotropizmowi dodatniemu mikroskopowe odrobiny (komórki) naszego i zwierzęcego ciała bronią nas skutecznie przeciw chorobom zaraźliwym.

Jak wiadomo, bakterye chorobotwórcze wydzielają szczególne, trujące ciała, t. zw. toksyny, zabójczo działające na tkanki organizmu.

Otóż względem tych właśnie toksyn leukocyty wykazują silny chemotropizm dodatni. Skupiają się one gromadnie w tych miejscach, gdzie bakterye, wtargnąwszy do ciała, zaczęły się rozmnażać, np. do rany zewnętrznej w skórze, i zaczynają pochłaniać oraz przetrawiać niebezpiecznych intruzów. Ten proces patologiczny oznaczamy mianem fagocytozy (np. w ropieniu).

Jeżeli najście bakteryj na organizm okaże się niezbyt gromadnem, gwałtownem, wtedy walka leukocytów z niemi kończy się zwykle pomyślnie dla zagrożonego osobnika i choroba zostaje powstrzymana. W przeciwnym razie, jeżeli działalność bakteryj otrzyma przewagę, zakażenie zaczyna się szerzyć i dalszy przebieg choroby oraz jej koniec zależeć będą od innych okoliczności ubocznych.

W celu wykazania chemotropizmu dodatniego leukocytów względem toksyn J. Massart wykonał następujące doświadczenie. Do krótkiej, włoskowatej rurki szklanej wprowadzał kulturę bakteryi Staphylococcus pyogenes albus (wywołującej ropienie) i zamykał, zalutowywał jeden jej koniec; drugi, otwarty, wprowadzał do jamy brzusznej żaby lub pod skórę królika. Po upływie 12 godzin rurkę wyjmował i pod mikroskopem wykrył w niej masę leukocytów, które przez otwór wtargnęły do wnętrza rurki i zatkały nawet ją sobą niby białym, zbitym korkiem. Leukocyty zatem zostały pobudzone w tem doświadczeniu do wypełnięcia z pomiędzy tkanek zwierzęcych, przyciągnięte przez toksyny, wprowadzone do żywego ciała.

Mogłoby się jednak zdawać, że właściwą przyczyną chemotropizmu były tu nie wydzielone przez bakterye toksyny, lecz same drobnoustroje, które w wielkiej ilości zawierała w sobie włoskowata rurka szklana lub też te płyny odżywcze, na których one zostały w kulturze wyhodowane.

Dla usunięcia tych wątpliwości w ten sam sposób wprowadzoną została pod skórę zwierzęcia rurka włoskowata z samym tylko płynem odżywczym, bez kultury bakteryj; leukocyty nie reagowały na nią wcale. Natomiast białe ciałka krwi gromadnie skupiały się w rurkach, zawierających płyny z hodowli bakteryj, poddane zupełnemu wyjałowieniu (sterylizacyi), które zabiło drobnoustroje żywe. Niewątpliwie więc nie żywe bakterye, lecz tylko produkty ich rozkładającego się życia — toksyny — pobudzają wolne, białe komórki krwi do tropizmu dodatniego.

Cały szereg szczegółowych badań biologicznych wykazał, iż taki sam chemotropizm wykazują leukocyty względem wydzielin wszelkich innych drobnoustrojów chorobotwórczych.

Podobne zjawisko zachodzi również, jak to wykazały prace Kowalewskiego, i w historyi rozwoju wielu, a może i wszystkich zwierząt.

Przedewszystkiem fagocytoza, oparta na takim chemotropizmie dodatnim, występuje na wielką skalę w procesie t. zw. przeobrażeń owadów. Kiedy gąsienica przeobrazi się w poczwarkę, wtedy pod jej grubą, mocną skórą odbywa się bardzo ożywiony proces przebudowywania organów i tkanek na inną postać, właściwą owadowi dojrzałemu w ostatecznej fazie jego rozwoju.

Rozpoczyna się wówczas ożywiona czynność fagocytów, które zciągają ze wszystkich zakątków ciała gąsienicy i zabierają się do „zjadania" mięśni, tkanek tłuszczowych, skóry i in.; zjawisko to przypomina rozbieranie starych murów, by z tych samych cegieł wybudować gmach nowy.

Materye, powstające na początku tego procesu degeneracyjnego, działają mocno przyciągająco na fagocyty: występuje tu wyraźny chemotropizm dodatni.

Co się tyczy chemotropizmu, zaobserwowanego u organizmów mikroskopowych, obdarzonych zdolnością do samodzielnego ruchu w wodzie, występuje on bardzo wyraźnie u bakteryj orzęsionych, wymoczków, wodorostów i zarodników.

Engelman zauważył, że bakterye gnilne zbierają się gromadnie w pobliżu źródeł tlenu; a zatem pod mikroskopem widzieć możemy, jak te drobnoustroje gromadzą się w największej ilości na powierzchni kropli wody, stykającej się bezpośrednio z powietrzem.

Jeżeli taką kroplę wody przykryjemy z wierzchu cieniutkiem, lekkiem szkiełkiem pokrywkowem, to bakterye skupiają się na obwodzie spłaszczonej kropli i utworzą ruchomy pierścień, opasujący ją i stykający się z atmosferą.

W taki sam sposób przyciągająco działają na bakterye te drobne pęcherzyki powietrza, które się do badanego pod mikroskopem płynu dostały, oraz zielone komórki roślinne, które za pomocą swego chlorofilu oddzielają na świetle tlen, chemicznie z węglem w dwutlenku węgla połączony.

Na tej zasadzie opiera się metoda analityczna, wykrywająca za pośrednictwem bakteryj obecność minimalnej zawartości tlenu, rozpuszczonego w płynach. Jeżeli dopływ powietrza z zewnątrz będzie odcięty, to w kropli, zawierającej bakterye, miejsca, gdzie się znajdzie tlen (wolny), wskazane zostaną wyraźnie przez gęste skupienia mikrobów.

Verworn podaje opis następującego, bardzo ciekawego spostrzeżenia:

Pod szkiełkiem pokrywkowem widzimy przez mikroskop wielki (stosunkowo) jednokomórkowy wodorost (z okrzemek) pinnularyę. Dokoła niej gęstym pierścieniem skupiły się wszystkie bakterye obecne na preparacie; lecz oto wodorost zaczyna poruszać się powoli, opuszcza dotychczasowe miejsce swego pobytu i zatrzymuje się w w innym punkcie na pewnej odległości.

Bakterye (spirochaetae) przez pewien czas pozostają nieruchomo na poprzedniem miejscu, wchłaniając tlen, dostarczony im przez wodorost.

Po pewnej jednak chwili daje się wśród nich zauważyć ruch, znowu wędrują one „śladem“ wodorostu i w parę minut otaczają drobną roślinkę zwartym szeregiem.

Zjawiska podobnego chemotropizmu opisane zostały u niektórych roślin podczas procesu zapładniania jeszcze w r. 1884 przez W. Pfeffera *).

Wyraźny chemotropizm wykazują plemniki (spermatozoidy) względem komórki jajowej tego samego gatunku, przedewszystkiem u paprotników i mchów.

Oddawna do najtrudniejszych w rozwiązaniu zagadek biologii ogólnej należał fakt, że plemniki z zadziwiającą dokładnością odnajdują w wodzie komórki jajowe, podlegające zapłodnieniu i dokonywają tego niezbędnego aktu, poprzedzającego proces rozwoju nowego osobnika.

Wielka bowiem ilość roślin i zwierząt, szczególniej morskich i wogóle wodnych, składa swe produkty rozrodcze, tak żeńskie—jaja, jak i męzkie—plemniki, wprost do wody.

Wśród olbrzymiej więc ilości najróżnorodniejszych organizmów mikroskopowych, tak roślinnych, jak zwierzęcych, czyli wśród t. zw. planktonu, znajduje się niezmiernie wielka ilość najrozliczniejszych gatunków jaj i plemników, a pomimo to plemniki, obdarzone zdolnością zwinnego ruchu, z niezwykłą dokładnością odnajdują jajko swego gatunku, by je zapłodnić.

Otóż to ciekawe zjawisko, dawniej uważane za niewytłomaczone, wprost „cudowne,“ wyjaśnia nam obecnie chemotropizm; każda bowiem komórka jajowa wydziela specyalne substancye, pobudzające do chemotaktyzmu dodatniego plemniki tego samego gatunku, obojętne zaś dla spermatozoidów innych, choćby nawet blizko spokrewnionych. Zjawisko to, doświadczalnie wykryte wśród wielu organizmów niższych, warunkuje prawdopodobnie skuteczność zapłodnienia i u wielu organizmów wyższych.

Doświadczenie Pfeffera nad chemotropizmem plemników paproci urządzone było w następujący sposób. Napełnił on zamkniętą z jednego końca rurkę szklaną kwasem jabłkowym w rozcieńczeniu koło 0,05% i zanurzył ją do kropli wody, w której znajdowała się wielka ilość plemników paproci. Z rurki powoli występował kwas jabłkowy i wywierał jednostronne podrażnienie na ruchliwe pierwiastki płciowe.

Pod mikroskopem widocznem było, jak plemniki tłumnie cisnęły się do otworu rurki i wchodziły do jej środka. Po upływie 30 sekund weszło do niej już około 60 plemników, po 12 zaś minutach wszystkie, obecne plemniki, z wyjątkiem jednego.

Jak kwas jabłkowy, działający przyciągająco na plemniki paproci, powoduje proces zapładniania komórki jajowej, ukrytej wewnątrz rodni tej rośliny, która zawiera ten kwas we wszystkich swych częściach, wytwarzających produkty rozrodcze, tak cukier gronowy wykazuje taki sam wpływ na sprawę zapłodnienia u mchów.

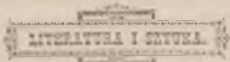
Z licznych badań, przeprowadzonych przez Pfeffera i innych biologów nad chemotropizmem różnych komórek, uzdolnionych do samodzielnego ruchu wynika, że względem różnych ciał chemicznych różne komórki zachowują się rozmaicie. Ciała, pobudzające jedne komórki do chemotropizmu dodatniego, dla innych mogą być obojętne lub wywołujące chemotropizm odjemny.

Przytem stopień koncentracyi danego ciała odgrywa zawsze wielką rolę. Ten stopień koncentracyi, który pod tym względem zaczyna wykazywać działanie, dla różnych ciał jest bardzo rozmaity: gdy jedne, w niezmiernie drobnej ilości rozpuszczone w wodzie, wywołują już wyraźne zjawisko tropizmu, inne muszą być zastosowane w znacznie silniejszym roztworze.

(D. n.).

Kazimierz Kulwięć.

*) „Locomotorische Richtungsbewegungen durch chemische Reize“ i „Ueber chemotactische Bewegungen von Bacterien, Flagellaten und Volvocineen“ (Untersuch. aus dem botanisch. Inst. zu Tübingen. T. I i II).



PRZEGLĄD TEATRALNY.

J. I. Kraszewski: *Gościna Radziwiłła*, komedya w 3 aktach. — Tadeusz Rittner: *W małym domku*, sztuka w 3 aktach.

Wśród publiczności, a zwłaszcza w dziennikach, zapełniających trzecią część szpalt swoich sprawami teatralnemi, spotykamy się coraz częściej z narzekaniem na warszawski teatr Rozmaitości. Skargi te są w znacznej części słuszne i sprowadzić się dadzą do kilku punktów zasadniczych: kierunek repertuaru, spoczywający w nieodpowiednich rękach byłego reżysera operetki, nosi charakter dorywczości i przypadkowości; mała scena, ciasna i brudna salka, ohydne wejście — zdają się urągać najelementarniejszym wymaganiom kulturalnego widza; źle pojmowana oszczędność, w połączeniu z intrygami zakulisowemi, prowadzi do usuwania z teatru sił pożytecznych lub nawet pierwszorzędnych (świeżo np. opuściła scenę tutejszą taka wybitna artystka, jak Siemaszkowa) i utrzymywania w nim nieużytków (ze stanowiska sztuki, rzecz prosta!) o gładkich twarzach i mocnych plecach.

Do punktów powyższych możnaby dodać jeszcze brak rzetelnej krytyki w niektórych organach wpływowych, gdzie recenzentów poważnych zastąpili różni karyerowicze dziennikarscy, tumaniący i zagłuszający stale swych czytelników potokami frazeologii bombastycznej i umiejący wmówić w nich zawsze, że przeciętne bardzo ramoty sympatycznych pisarków „z naszej parafii“ noszą (ukryte głęboko) cechy genialności. Dobrze jeszcze, gdy tylko to. Gorzej, gdy panowie tacy, jak się to już nieraz zdarzało, z różnych osobistych i nieosobistych względów— odstręczają wprost publiczność od dzieł natchnienia i talentu, obniżając i tak niezbyt u nas wysoki poziom dobrego smaku i wymagań artystycznych.

Lecz niezależnie od tego wszystkiego, przedewszystkiem — czasby już chyba zerwać raz na zawsze z dziwną zaściankowością w wyborze sztuk wystawianych. Dotyczy to zwłaszcza oryginalnej twórczości dramatycznej. Gdzieś tam w sąsiedztwie rodzą się i rozwijają bujne indywidualności poetyckie, wyobraźnia twórców zapala się, kipi, wre, a dzieła dramatyczne są naprawdę owocem natchnienia i mają prawo zupełne zaliczać się do poezyi. Gdzieś tam w sąsiedztwie wydobywają ze skarbca literatury arcydzieła mistrzów największych, aby nanowo uplastycznić je ogółowi na scenie. Gdzieś tam w sąsiedztwie królowa-sztuka potrząsa dumnie płaszczem purpurowym, sięga śmiało w górę i wznosi się nieraz do szczytów najwyższych. A u nas tymczasem z zaklętych skarbców literatury wydostaje się na dni uroczyste arcydzieła takie, jak „Oj mężczyźni, mężczyźni,“ lub tym podobne „Wicki i Wacki“; nie zdobyto się dotąd na wystawienie ani jednej sztuki Wyspiańskiego, choć taka np. „Klątwa,“ dramaty greckie, „Bolesław Śmiały,“ mogłyby być prawdziwemi ozdobami repertuaru; od lat dwudziestu nosimy się z zamiarem wznowienia „Maryi Stuart“ Słowackiego, a z arcydzieł szekspirowskich dajemy raz na rok utwór jakiś, jeden z paru zaledwie, jakie tu wogóle wystawiamy.

Od czasu do czasu wjeżdża do nas przy dźwiękach puzonów reklamy ta lub owa sztuka galicyjska. Nie będzie to jednak w żadnym razie głęboki i prawdziwie dramatyczny „Skarb“ Staffa, lecz co najwyżej „W małym domku“ pasowanego świeżo przez przyjaciół na wielkiego dramaturga-poetę, p. Tadeusza Rittnera. A z sił miejscowych berło poezyi dzierży stale na scenie naszej p. Stanisław Kozłowski. Szablon i miernota rozpanoszyły się więc wszechwładnie w teatrze Rozmaitości, różne formy trójkąta małżeńskiego stanowią jego zagadnienie najważniejsze, i doszło już dzisiaj do tego, że wznowienie paru odwiecznych komedyj Fredry, jednej sztuki Korzeniowskiego i jednej Kraszewskiego przyczynia się do — *odświeżenia* atmosfery.

Niedawno właśnie z pewną przyjemnością patrzyliśmy na „Radziwiłła w gościnie“ starego J. I. Kraszewskiego. Utwór to błahy dosyć niedorównywający pod względem artystycznym takiemu np. „Miodowi kasztelańskiemu“ tego samego pisarza. Ale jest w nim pewna werwa i życie, jest dobry, choć po szlachecku zamaszysty rysunek księcia-wojewody i butnego Korjatowicza - Kurcewicza; czuć tu przytem tchnienie epoki minionej, a przedewszystkiem mamy znakomitą grę dwóch artystów dużej miary, stanowiących cenny zabytek świetnej doby teatru warszawskiego. Jeden z nich to Rapacki w wybornie wystudyowanej roli Karola Radziwiłła, drugi — Leszczyński, wcielający się z intuicyą świetną w postać dumnego szlachcica, niechcącego księciu ustąpić.

Z „Radziwiłłem w gościnie“ łączą zwykle „Panią Kasztelanową“ Korzeniowskiego, gdzie znów p. Niewiarowska odtwarza wspaniale rolę tytułową nieprzejednanej magnatki, usiłującej rozerwać małżeństwo syna ze zwykłą tylko szlachcianeczką.

Po nieszczęśliwej „Maszynie“ p. T. Rittner wystąpił z nowym dramatem trzyaktowym („W małym domku“), lepszym niewątpliwie od próby pierwszej, lecz dalekim bardzo od tych wyżyn, na które go wciągnąć usiluje nieznająca miary reklama zaprzyjaźnionych dzienników. Mniejsza już doprawdy o sam pomysł, mniejsza o treść szablonową. Podobne związki z obowiązku i ich opłakane skutki znamy dobrze; widzieliśmy je u Kisielewskiego, u Kaweckiego i innych, ale, jak w „Panu Jowialskim,“ moglibyśmy raz jeszcze posłuchać bajeczki, gdyby ją nam opowiedzieć umiano. Nie wystarcza jednak przeładowanie dramatu zabójstwami i samobójstwami, aby go uczynić zajmującym; trzeba to wszystko umotywować i uprawdopodobnić, bo królewskie *parceque tel est mon plaisir* dzisiaj już w sztuce nie wystarcza, jak zresztą nie wystarczało nigdy. A tymczasem p. Rittner nie przekona w dramacie swoim nikogo, aby jego doktór, zimny i wyrachowany karyerowicz małomiasteczkowy, niekochający oddawna swej żony, poślubionej z *obowiązku* za czasów zapałów studenckich, *musiał* (tu chodzi o konieczną pobudkę wewnętrzną) musiał popełnić na niej bezmyślne i bezcelowe zabójstwo, tak sobie, wskutek podejrzenia jedynie, że ona go zdradziła z szablonowym uwodzicielem Jurkiewiczem, którego jej sam umieścił niebacznie pod bokiem na czas swej nieobecności w domu.

Jeszcze mniej prawdopodobny jest powrót doktora do miasteczka (po uniewinnieniu przez przysięgłych), oczekiwanie na pacyentów lub życzliwych, wyrzuty sumienia, samobójstwo. Podobne wypadki zda-

rzają się w życiu, tu jednak bywają one wynikiem logicznym położeń i charakterów, a nie, jak w dramacie p. R., szeregiem „widzi mi się“ autorskich. Pomijam już nawet cały akt drugi, gdzie zakochana pani doktorowa zachowuje się wprost, ak waryatka, i na szyję niemal rzuca się uwodzicielowi w obecności męża i gości. Ale właśnie ta wychwalana „ekspiacya,“ ta kara, którą sam sobie wymierzył, jest może najmniej prawdopodobnem, bo kłócacem się stanowczo z aktem pierwszym, zakończeniem dramatu. Jeśli chodziło o efekt jeszcze jednego wystrzału, to i owszem, można na tem używać zawsze, ale prawdy w tem wszystkiem niewiele.

Dramat p. Rittnera ma jednak momenty szczęśliwe, do których zaliczyłbym rysunek środowiska małomiasteczkowego, oraz traktowaną dyskretnie miłość Sielskiego i Wandy. Ale wogóle jest to znowu próba tylko, w której widać usiłowania, uwieńczone na razie cząstkowym tylko wynikiem.

P. Żelazowski w roli doktora przypomina znów zanadto siebie samego w rolach innych, co mu się nie po raz pierwszy przytrafia. P. Przybyłko-Potocka, jako Marya, wyjaskrawia nadmiernie i tak już nieprawdopodobne sytuacye, ale ma chwile dużej szczerości i prawdy. Dobrą zupełnie parę tworzą p. Irena Trapszo i p. Śliwicki w rolach nauczyciela i kuzynki doktora, Wandy. P. Siemaszko zastępował z powodzeniem chorego p. Frenkla. Zauważyłbym wreszcie, że wyrazenia w rodzaju „tak długo, dopóki on nie wróci“ są germanizmami i nie mają prawa obywatelstwa w poprawnej polszczyznie, o czem pamiętać warto...

Wł. Bukowiński.

Sztuka a przemysł.

Z powodu tegorocznej wystawy „Kolonii artystycznej“ w Darmsztadzie“ mieliśmy niedawno sposobność zaznajomienia czytelników z dążeniami tego grona artystów na polu sztuki stosowanej. Ciekawą ilustracyę ich wpływu ekonomicznego na przemysł stolicy i kraju heseńskiego znajdujemy w artykule syndyka darmsztadzkiej izby handlowej, dr. Human, wydrukowanym w *Frankfurter Zeitung*, a zdaje nam się, że dane te mają znaczenie ogólniejsze.

Okazuje się, że skutki materyalne, przez „Kolonię“ wywołane, są już dość pokaźne, a inicyator jej, wielki książę heseński, pośrednio wzbogacił państewko swoje nietylko estetycznie, lecz i praktycznie. Dzięki robotom artystów takich, jak Olbrich, Behrens, Huber, Cissarz i innych, miasto Darmstadt stało się jednem z ognisk przemysłu meblowego w guście nowoczesnym. Nie licząc drobnych warsztatów stolarskich, sześć wielkich i taka sama liczba mniejszych fabryk oraz firm handlowych pracuje w tej gałęzi, głównie dla sprzedaży detalicznej, tj. bezpośrednio dla publiczności kupującej. O powodzeniu ich świadczy dość wymownie fakt, że w dwu największych zakładach, po pierwszej wystawie „Kolonii artystycznej“ w r. 1901, liczba robotników powiększyła się o 40%. Dr. Haman jednak zaznacza, że meble tu wyrabiane są dość drogie i w większości wypadków prawie niedostępne dla sfer średnio zamożnych. Ideł urządzeń o charakterze indywidualnym i artystycznym dla tych klas, które przy utworzeniu „Kolonii“ pono na pierwszym stały planie, tymczasem zatem jeszcze nie został osiągnięty.

Ożywcze i pomyślne wpływy dają się również zauważyć w przemyśle tkackim, szklannym, ceramicznym, metalowym i galanteryjnym, dla których artyści „Kolonii“ stale dostarczają pomysłów oryginalnych. Trzy fabryki, wyrabiające bieliznę stołową, dywany, firanki itd. według wzorów głównie Christiansena, Olbricha i Cissarza, wykazują już dość znaczny wywóz do Anglii, Holandyi, Austryi, Rosyi i Szwajcaryi. W tym samym mniej więcej stopniu wzrasta po roku 1901 produkcya naczyń oraz przedmiotów zbytku z gliny i szkła, wyrobów jubilerskich, drobnej galanteryi z drzewa i kości oraz przyborów do oświetlania z różnych metalów. Rzeczy te cieszą się coraz większą wziętością, a wśród kupców i publiczności wyrobiło się dla nich ogólne określenie „stylu darmsztadzkiego.“

Nawet w dziedzinie sztuk graficznych ożywiony ruch dekoracyjny, według świadectwa dr. Hamana, wywołał większy popyt na druki ozdobne dla celów handlowych oraz osobistych, co oczywiście korzystnie się odbiło na lepszych drukarniach i zakładach litograficznych. Najmniej powiodło się odrębnej architekturze „Kolonii,“ obliczonej snadź na gusta zbyt wybredne i... kiesy zbyt pełne.

Choć autor nie podaje cyfr szczegółowych, artykuł jego i w zarysie ogólnikowym oświetla dobitnie znaczenie i wpływ ekonomiczny pierwiastku twórczości artystycznej na technicznie rozwinięty przemysł, przy warunkach sprzyjających pewnej skali dobrobytu ogólnego.

P. Ettinger.

Z muzyki.

Parsifal, uświęcona uroczystość sceniczna Ryszarda Wagnera.

Utrwaliło się w świecie wagneromanów przekonanie, że „Parsifal“ stanowi punkt zwrotny w twórczości Wagnera. Pogląd ten, lubo oparty pa podstawach bardzo kruchych i słabo uzasadnionych, przyczynił się niemało do powiększenia zamętu, którego i poprzednio dość było w ocenach repertuaru wagnerowskiego.

Ponieważ „Parsifal“ jest ostatnią pracą reformatora opery nowoczesnej, ponieważ autor przeznaczył go wyłącznie dla sceny Bayreuthu, zakazując swym spadkobiercom w testamencie wystawiania tego dzieła w innych teatrach, — ponieważ rozpowszechniono podanie, że mistrz nadawał partycyi „Parsifala“ znaczenie testamentu artystycznego, umysły zapalczywe, uganiające się za nadzwyczajnością, usnuły wniosek, nie pozbawiony ostatecznie prawdopodobieństwa, że ów śpiew łabędzi zwiastuna *muzyki przyszłości* powinien być uważany za coś całkiem odrębnego od poprzedniej twórczości mistrza, za coś niebywałego. Wszakże nie bez przyczyny Wagner, odrzucając wszelkie określenia, używane poprzednio dla widowisk teatralnych i dzieł estradowych, nazwał swojego „Parsifala“ *uświęconą uroczystością sceniczną*. Więc nie opera, nie dramat muzyczny, nie misteryum, nie legenda dramatyczna!

Gdyby wywody subjektywne namaszczonych komentatorów-doktrynerów dotyczyły głównie (nie powiem wyłącznie) muzycznej strony utworu, osłabienie złudnej siły ich twierdzeń dałoby się uskutecznić bez wielkiej trudności. Wystarczyłoby na to ścisłe zanalizowanie partycyi, oraz zestawienie jej szczegółów technicznych z zawartością któregokolwiek znanego dzieła Wagnera, z pośród należących do ostatniego okresu jego działalności.

Przekonanoby się wówczas z łatwością, a dokumentnie, że pod względem stylu, formy, faktury, użycia środków i kolorytów, wyzyskania i prowadzenia tematów rozwoju nadanego *leit-motywom* i melodyom nieskończonym, stanowiska, wyznaczonego orkiestrze i głosowi ludzkiemu, wreszcie przewagi efektów dekoracyjności i nastroju nad popisami artyzmu śpiewaczego, „Parsifal“ jest rodzoniuteńkim bratem „Złota Renu“, „Walkiryi“, „Zygfryda“ i „Zmierzchu bogów.“ W ostatniem swem dziele bowiem Wagner nie oddalił się wcale od kierunku, który wytknął sobie i ogłosił, przystępując do tworzenia „tetralogii.“ Nie znajdujemy oczywiście w orkiestracyi „Parsifala“ nowych, specyalnych, instrumentów muzycznych, ale jedynie z tego powodu, że odmienny nastrój środowiska akcyi nie wymagał użycia takich barw. Natomiast chóry: męzkie i żeńskie, doczekały się w „Parsifalu“ niespodziewanej rehabilitacyi, wbrew poprzednim postanowieniom Wagnera, który komponując „Niebelungów“ zapowiedział stanowczo, że wyrzeka się raz na zawsze ich współudziału. Ściśle rzeczy biorąc, ze stanowiska czysto muzycznego, przekonamy się, że różnica między „Tanhäuserem“ a „Lohengrinem“ jest o wiele znaczniejsza, niż ta, która dałaby się odszukać między „Parsifalem“ a poprzedzającymi go bezpośrednio dramatami muzycznymi.

Każdy przyzna, że zwłaszcza, jak na rzekomy punkt zwrotny, to trochę za mało. Ale od czegóż pomysłowość ludzka? Od czego bujna, skłonna do fantazyjnych wzlotów wyobraźnia?

Postanowiono nadać „Parsifalowi“ znaczenie wyjątkowe dzieła filozoficzno-ideowego. I to się udało.

Jako materyał, ułatwiający znakomicie osiągnięcie tego celu, posłużył wątek libreta.

Wagner, jak wiadomo, wybierał bardzo starannie fabułę i treść do swych dramatów muzycznych. Nie poprzestając na konsekwentnem unikaniu powszechnie przyjętych konwencyonalizmów dawniejszej akcyi operowej i na nieustannem wprowadzaniu na scenę coraz to nowych i śmielszych pomysłów (zwłaszcza mających na celu osiągnienie efektów dekoracyjności), mistrz z Bayreuthu, chcąc podnieść znaczenie i wartość artystyczną przedmiotów, które ilustrował muzyką, zużytkował teoryę uzmysłowienia symbolów w treści scenicznej swoich dzieł. Spotykamy je na każdym kroku w „tetralogii“, mamy ich kilka, ale bardzo wyraźnych i utrzymanych wciąż na pierwszym planie akcyi, w „Parsifalu.“

Główny bohater treści jest uosobieniem ludzkości, dążącej do udoskonalenia; dwoista postać czarodziejki Kundry, występującej na przemian to w charakterze kusicielki, żądnej upojeń zmysłowych, to jako pocieszycielka i pokutnica, symbolizuje kobiecość w sprzecznych objawach swych skłonności złych i dobrych; krwawiąca rana króla Amfortosa, której żadne leki nie mogą zagoić, ma uprzytomnić nieustanne cierpienia ludzkości grzesznej, dręczonej wyrzutami. Symbolicznym jest nadto sam duch treści. Dzieje niewinnego prostaka (Parsifala), który uświadomiony przez litość, przywraca zakonowi rycerzy Graala, dawną świetność utraconą wskutek przewinień młodego króla.

Są to środki subtelne, zużytkowane z pomysłowością misterną w celu uczynienia akcyi widowiska teatralnego (pod względem ożywienia scenicznego dość ubogiej) poważniejszą i bardziej zajmującą. W rękach roznamiętnionych wagnerzystów, którym się zdaje, że wszystko, co pochodzi od mistrza, musi koniecznie być otoczone jakimś nimbem tajemniczym mistycyzmu, niedostępnego profanom, te szczegóły artystyczne wytwornej techniki dramato-pisarskiej, przemieniły się zręcznie lubo nie bez śladów sztuczności, w akta wyznania wiary.

Twierdzono zawzięcie, że wprowadzając na scenę w „Niebelungach“ bogów i bohaterów Walhalli skandynawskiej, Wagner

kroczył po drodze politeizmu mistycznego. Temat do „Parsifala", zaczerpnięty z podań legendowych Europy średniowiecznej, uznano za powrót do idei chrześciańśtwa. Okazało się jednak, że w symbolach ostatniego dzieła Wagnera, znajduje się tylko pewna przymieszka wierzeń, właściwych buddaizmowi, i wnet powstało nowe przypuszczenie, że pod koniec swojego żywota, reformator z Bayreuthu przemówił do świata jako filozof-eklektyk. Zapomnieli pomysłowi wynalazcy szumnie brzmiących określeń o jednym fakcie mianowicie, że Wagner był zbyt silnie przejęty doniosłością swego apostolstwa artystycznego w muzyce, aby myśleć o spowiadaniu się ze swoich przekonań religijnych w takiej formie.

Zapomnieli również, że główna, najpoważniejsza wartość artystycznej puściny Wagnera mieści się w jego twórczości muzycznej, nie zaś w uzupełnieniach pomocniczych, zapożyczonych od innej sztuki. Te strony dodatkowe działalności mistrza nie posiadają i nie mogą posiadać samoistnego znaczenia.

Pozbawmy tekst literacki dramatów wagnerowskich, z całą jego bogatą symbolistyką i różnorodnie tłomaczonemi zagadkami filozoficznemi, tej potężnie indywidualnej ilustracyi muzycznej, co z nich zostanie? Nie utrzymałyby się w literaturze niemieckiej na stanowisku trzeciorzędnem, pomimo naszpikowania tekstu przesadnie wyszukanemi wyrażeniami zapomnianych narzeczy starogermańskich, pomimo sztucznej podniosłości napuszonego patosu i kunsztownej budowy wiersza, z wszystkiemi jego osobliwemi kombinacyami dźwięków w rodzaju aliteracyi itp.

Tymczasem sama muzyka Wagnera, wolna od aparatów teatralności, wykonana w fragmentach, na estradach nawet, choć pozbawiona słowa deklamowanego (z którem stanowić miała nierozerwalną całość), budzi wrażenie silne, imponuje potęgą nastrojów i plastyką obrazowości jędrnej a żywej, przemawia do zmysłów i rozumu słuchacza, jako objaw genialny indywidualności pierwszorzędnej.

Prawda, że wspomniane powyżej dociekania i sofizmaty pochodzą niemal wyłącznie od nie-muzyków. Rozpisywali się i rozpisują dotychczas najobszerniej o Wagnerze publicyści, poeci, dyplomaci, prawnicy, finansiści, biorąc wyłącznie za punkt wyjścia różne zapatrywania estetyczno-filozoficzne. Prawią szeroko o wszystkiem, o czem tylko można marzyć, ale z muzyką Wagnera załatwiają się komunałami. Nietrudno domyśleć się w ich pracy próżnych ambicyj satelitów-księżyców. Zagłuszają świat głośnymi frazesami o niedocieczoności Wagnera, chcąc przekonać, że zrozumieli jego ducha; przemilczają faktyczną wartość jego muzyki, ponieważ w większości przypadków nie umieją zdać sobie z niej sprawy.

Muzycy tymczasem uważają go tylko... za swego mistrza. A wszystko, co on im pozostawił, nawet w kształtach i zwrotach wyszukanych, nieszczerych, pozbawionych natchnienia, zawiera dla nich nauki bardzo cenne.

Zasługi i wartość działalności Ryszarda Wagnera, jako reformatora muzyki operowej, są zbyt doniosłe i poważne, aby je stroić w niepotrzebną, bałamutną dyalektykę. Muzyka Wagnera sama już przez się dość zawiła i nie dla każdego łatwa do zrozumienia, wymaga tylko oceny rzeczowej i objaśnień analitycznych.

Warszawa, dzięki wyjątkowo szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, uchroniła się dotychczas od walk, staczanych *pro* i *contra* idej wagnerowskich. Znajdujemy się więc w tem położeniu, że możemy rozprawiać o Wagnerze bez uprzedzeń. Tak też zachowała się zaciekawiona publiczność, tłocząca się przez dwa wieczory z rzędu do Filharmonii na „Parsifala."

Ostatnie dzieło Wagnera, do którego wysłuchania muzykalniejsze koła miłośników okazały się odpowiednio przygotowane, nie ukazało się u nas w całości. Nadmierna długość widowiska oraz nieprzewidziane trudności i przeszkody skłoniły dyrekcyę do zrobienia skróceń. Ofiarą psot nieprzychylnego fatum padł, wraz z ustępami, których nie żałujemy, śliczny chór żeński dziewcząt-ptaków, uważany za jedną z oryginalniejszych i wdzięczniejszych kart w twórczości Wagnera. To, co zostało z „Parsifala," wystarczyło słuchaczom dla wyrobienia sobie trafnego pojęcia o dziele wzniosłem, arcypoważnem, często natchnionem, zawsze wysoce nastrojowem. Niejeden ustęp, naturalnie, przedstawiłby się nieco inaczej w właściwem mu oświetleniu perspektywy teatralnej, której nie miały, przypuszczam, zastąpić dekoracye, zawieszone nad estradą.

Ponieważ jednak ostatnia wola twórcy pozbawiła nas możności ujrzenia „Parsifala" na scenie opery miejscowej, dobrze chociaż, że poznaliśmy z estrady koncertowej dzieło, które w świecie muzycznym wywołało tak niezwykłe wrażenie.

Bojomir.

NOWE KSIĄŻKI.

— Juliusz Słowacki: **Samuel Zborowski**, dramat w 5 aktach. Wydanie z autografu z wstępem i objaśnieniem dr. H. Biegeleisena. Warszawa. Fiszer.

Jeden to z tych zdumiewających ogromem, niedosiężnych, swój czas i epokę wymijających utworów filozoficznych, w jakie obfitowała twórczość Słowackiego z lat późniejszych. Szukać tu próżno fabuły dziejowej. W zaświatach przed „niebieskim grodem" rozgrywa się ta wielka sprawa między Samuelem a kanclerzem. W ich „dwu osobach," urastających na symbole dwu ścierających się potęg— twardego prawa i ducha „lecącego pióry anielskiemi z pod formy, co go zaczynała cisnąć" — staje cały naród przed sądem. Rzecznikiem Zborowskiego jest Lucyfer. W płomiennych, natchnionych słowach jego obrony, która „stanąć może godnie obok improwizacyi Konrada" — jak mówi H. Biegeleisen w przedmowie — sprawa Zborowskiego i Zamoyskiego olbrzymieje, staje się nie narodową już, ale wszechludzką, ogarnia proroczo najgłębsze zagadnienia dnia dzisiejszego.

— Stanisław Przybyszewski: **De profundis.** F. Fontane. 1804. Berlin.

Tematem jest miłość kazirodcza. Sensacyjny pomysł w celu przerażenia filistrów. Istotną jednak treść „De profundis" stanowią wizye, obrazy gorączkowe, które oszalałe zmysły poddają wyobraźni autora. Tu potęga i bogactwo języka nie zawodzą go nigdy. Ciekawe są bardzo i te karty książki, na których aż nazbyt wyraźne piętno wycisnął Dostojewskij (jego „Sobowtór"). Widać z nich, z jakim artyzmem umie Przybyszewski nawet swym wrażeniom literackim nadać pozór bezpośrednio przeżytych i przecierpianych.

Synowie ziemi, str. 179, Lwów. B. Połoniecki.

Wstęp do powieści zaczyna się tą samą tezą, której autor dowieść usiłował w swych nikłych próbach stworzenia syntezy: „osią życia całego jest Miłość i Śmierć." Mamy więc i tu w Czerkaskim i Hance „mężczyznę i kobietę, miłością zespolonych, dążących naoślep dalej i dalej... w jasną przyszłość... poprzez huragan wichru wszelkich przeciwności losu." Jednak nie pękają już nad nimi tak, jak dawniej, fajerwerki słów namiętnych, nie biją wyłącznie dla nich gejsery uczuć. Powieść ta, jak powiada autor we wstępie, należy do drugiego okresu jego twórczości; powstała prawie jednocześnie ze „Śniegiem." Zawiera smutek i tęsknotę mglistą, nieokreśloną, ową „tęsknotę za tęsknotą." Spotykaliśmy ją i dawniej, ale wtedy była dla Przybyszewskiego pięknem słowem raczej, teraz jest imieniem uczucia, które się w duszy jego rozrosło. A na tem tle tu i owdzie przeświecają „nastroje społeczne." Mimo to „Synowie ziemi" nie sprawiają głębszego wrażenia i zwolennikom twierdzenia, że talent autora „Nad morzem" rozwija się po linii zstępnej, dostarczą zapewne wielu dowodów.

— Michał Mutermilch. **Żydzi.** Warszawa. Gebethner i Wolff.

„Żydzi," p. Mutermilcha, rekrutujący się przeważnie z mniej ciekawych sfer bogatej burżuazyi, wyprani z wszelkich cech znamiennych, nie różnią się niczem od ogólnie obowiązującego szablonu. Próba oświetlenia, a nawet rozwiązania „kwestyi żydowskiej," podana w kilku suchych tyradach na końcu książki, jest jednym dowodem więcej przeciw p. Mutermilchowi-powieściopisarzowi.

Co skłoniło autora do podjęcia zadania tak dalece przekraczającego zasób jego sił twórczych — dociec trudno. *Br. W.*

Notatki literackie i artystyczne

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH. Wyd. Arcta.

— Henryk Galle: „Teorya prozy i poezyi w zarysie," cena kop. 25. „Krótka stylistyka wraz z teoryą wierszowania." Cena kop. 15.

— A. Wrzesień: „Homer-Odysea," cena 25 kop.

— A. Miecznik: „Macedonia i Macedończycy." cena 20 kop.

— M. Arct: „Słowniczek wyrażeń i przysłów cudzoziemskich," cena 25 kop.

— S. Brzozowski: „Jan Śniadecki. Życie i dzieła," cena 25 kop.

— M. Maeterlinck: „Joyzella" sztuka w 5 aktach przeł. A. C. Cena 20 kop.

— Sofokles: „Antygona," przeł. K. Morawski. Cena 15 kop.

— „Atlasik botaniczny" kieszonkowy. Cena 30 kop.

— M. Dzierżanowska: „Pisownia polska w ćwiczeniach." Część I, wydanie drugie.

NA MARGINESIE.

Upadek aptekarstwa zaznacza dr. Saleeby w *World's Work*, nie natychmiastowy, coprawda, gdyż nigdy może jeszcze publiczność tak licznie aptek nie nawiedzała, jak obecnie. Ale medycyna zaczyna już przyznawać lekarstwu tylko znaczenie pomocnicze. Wyjąwszy paru środków, jak chinina, żelazo, merkuryusz, salicyl, inne okazały się w rezultacie niezmiernie zawodnymi. Najwięcej zaszkodził aptekarstwu Pasteur. Nowa metoda leczenia surowicą, którą zawdzięczamy doktorom Hericourt i Richet, uznaną została za jedynie skuteczną w tych razach, gdy idzie o zniweczenie działania patologicznego toksyny. Dziś w razie dyfterytu nie używamy już innych sposobów zwalczania choroby. Obok surowicy stanęło leczenie powietrzem i słońcem, które też zastąpiło środki apteczne. Jednem słowem przewrót najzupełniejszy, który być może nie usunie zupełnie lekarstw, mających dla chorego znaczenie psychologiczne, lecz w każdym razie sprowadzi ich znaczenie do roli czysto pomocniczej.

Nauka o zmęczeniu. Czy mogliśmy dotąd odpowiedzieć na pytanie, co to jest zmęczenie? Sir W. R. Gowers usiłuje rozwiązać tę zagadkę w ciekawej pracy, drukowanej w *Quarterly Review*. Twierdzi on mianowicie, że wyczerpanie fizyczne spowodowane jest pojawieniem się wskutek pracy mięśni pewnego jadu szkodliwie działającego na włókna tkanki mięśniowej; w źródłach energii wywołuje on

zmianę, która tylko po upływie pewnego czasu ustąpić może. Znużenie umysłowe łączy się ściśle z wyczerpaniem fizycznem. Ptaki zmęczone długim lotem wędrownym, przestają widzieć, rozbijają się o przeszkody, spotykane na drodze i giną. Jad powstały w mięśniach wskutek zmęczenia przenika do krwi i wraz z nią dostaje się do mózgu, który też ze swej strony, nawet podczas zajęcia najbardziej mechanicznego, nie przestając być czynnym, przyjmuje udział w wywołaniu znużenia. W taki sam sposób zmęczenie czysto umysłowe oddziaływa na mięśnie. Stwierdził to wielokrotnie Masso, znakomity fizyolog włoski. Sir Gowers przytacza również wiele przykładów, udowodniających powyższą obserwacyę. Usiłował on też zbadać, do jakiego stopnia zmiana zajęcia może wpłynąć na zmniejszenie znużenia, lecz ponad pewność, że praca, która ma przynieść wypoczynek, musi być znacznie lżejsza, niż ta, która wywołała znużenie, innego przekonania nie zdobył.

Maszyna rzeźbiąca Wenzla w Niemczech i w Anglii weszła już w powszechne użycie. Przy jej pomocy w ciągu kilku dni można wykonać pracę, na którą przedtem trzeba było tygodni i miesięcy. Nie zastąpi ona w każdym razie dłuta artysty, lecz zapewnia dziełu jego takie odrobienie artystyczne, jakiego dotąd najzdolniejsze ręce dać mu nie mogły; prócz tego pracuje znacznie szybciej i kosztuje o wiele taniej, niż jakikolwiek pomocnik dotychczas — a wykonywa zarówno posągi olbrzymie, jak i rzeźby najsubtelniejsze. Wkrótce żadna pracownia rzeźbiarska obyć się bez niej nie będzie mogła.

Ubranie wydające promienie radu. Dr. London w Petersburgu stwierdził, że własności radu udzielają się wełnie. Stąd przypuszczenie możliwości wyrabiania w celach leczniczych odzieży wydającej jego promienie. Ten nowy środek aptekarski nie kosztowałby nawet dużo, gdyż niesłychanie drobne cząsteczki radu wystarczyłyby do przelania na odzież jego własności.

Z PRASY.

— W gazecie *Swiet* (nr. 322) czytamy:

„Dnia 4 b. m. adwokaci przysięgli okręgu petersburskiej izby sądowej, tudzież ich pomocnicy, zaproszeni przez prezesa rady obrończej na posiedzenie ogólne w gmachu instytucyj sądowych, celem roztrząśnięcia sprawy upamiętnienia czterdziestej rocznicy ustaw sądowych, nie mogli tam obradować, albowiem prokurator izby sądowej zawiadomił prezesa rady obrończej, iż wobec celów posiedzenia nie może pozwolić na odbycie go w gmachu instytucyj sądowych.

Pp. adwokaci przysięgli i ich pomocnicy, w liczbie około 400, zastawszy drzwi gmachu sądowego zamknięte, podążyli prospektem Litejnym i Newskim do gmachu rady miejskiej i tam urządzili posiedzenie. Było ono nader burzliwe, a pochód czterystu ludzi po najruchliwszych ulicach stolicy stał się wybitną manifestacyą."

Inne dzienniki petersburskie, *Ruś*, *Nowosti* (nr. 324) itd. podają nadto uchwałę, zapadłą na owem posiedzeniu. Brzmi ona tak:

„Zgromadziwszy się w czterdziestolecie ustaw sądowych i rozważywszy położenie sądu rosyjskiego, uznajemy, iż prawidłowy ustrój wymiaru sprawiedliwości jest niemożliwy bez przyznania wszystkim obywatelom równości, rękojmi nietykalności osób i mieszkań, swobody sumienia i wyznania, wolności prasy; zgromadzeń i stowarzyszeń. Jako rękojmia tych praw i zasada prawidłowego biegu życia państwowego nieodzowny jest udział reprezentacyi narodowej w wykonywaniu władzy prawowitej, w zatwierdzaniu budżetu i dozorowaniu prawności zarządzeń władz administracyjnych."

Do uchwały dołączono podanie o amnestyę ogólną dla winowajców politycznych i wyznaniowych.

Uchwałę, jak donoszą dzienniki, podpisało około 400 osób; podpisy są zbierane w dalszym ciągu.

— *Ruś* pisze, iż przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzono komisyę celem przejrzenia istniejących praw o cenzurze. Obecnie ministrowi są dostarczane spisy wszystkich redaktorów wydawnictw peryodycznych w obrębie Rosyi. Pozostaje to w związku z przyszłemi pracami komisyi. Podobno niektórzy redaktorowie będą zaproszeni do udziału w pracach komisyi.

— P. Mieńszykow pisze w *Now. Wrem.*: „Żołnierze japońscy starannie są odziani, obuci i we wszystko zaopatrzeni. Ciepłe półkożuszki z futrzanym kołnierzem, granatowe szynele, mundury z grubego, zwartego sukna, koszule flanelowe, lekkie i trwałe obuwie. Co się tyczy pożywienia, to prócz ryżu, wódki i sucharów, każdy żołnierz zaopatrzony jest jeszcze w podręczny zapas krewetek suszonych, jakichś pigułek leczniczych itp. Widać stąd, z jaką troskliwością i współczuciem dla doli żołnierskiej przewidziano wszystkie jego potrzeby i zrobiono wszystko, co możliwe, aby mu było o ile można dobrze. Jest to postępowanie nietylko humanitarne, ale w wysokim stopniu mądre. Można się zapatrywać na żołnierza, jak na zwyczajną maszynę, lecz i z tego punktu widzenia wymaga on najstaranniejszej opieki."

— W *St. Pet. Wied.* czytamy:

„Prasa polska wszystkich odcieni, z wyjątkiem jednego czy dwóch organów socyalno-demokratycznych, rozważając szczegółowo zaburzenia warszawskie, protestowała energicznie przeciw wszelkim uogólnieniom. W takim sensie wypowiedziały się: *Kraj*; *Słowo*, *Kuryer Polski*, *Kuryer Warszawski*, *Czas*, *Nowa Reforma*, *Przegląd*, *Gazeta Lwowska*, *Dziennik Polski*, *Słowo Polskie*, *Gaz. Narodowa*, *Kuryer Poznański*, *Dziennik Pozn.* i in. Zaburzenia, o ile są objawem życia polskiego, można niewątpliwie uważać za dzieło t. zw. „polskiej partyi socyalistycznej," której gniazdo znajduje się w Warszawie i która działa według wskazówek licznej i wpływowej partyi „Der Bund." Ten ostatni uznano za partyę izraelicką, chociaż w istocie z Izraelitami (przynajmniej polskimi) ma ta partya bardzo mało pokrewieństwa. „Spiritus movens" ukrywa się gdzieś za granicą nietylko Polski rosyjskiej, lecz po za granicami innych ziem polskich."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W ministeryum spraw wewnętrznych na początku lutego 1905 r. będzie roztrząsana sprawa organizacyi ziemstw zupełnych w tych guberniach zachodnich, w których [illegible] go wprowadzono tak zwane ziemstwa „uproszczone."

— Według *Gazety Radomskiej* na 142 wójtów w gub. Radomskiej nie umie czytać ani pisać 31, czyli 21,97%.

— Na telegramy wewnętrzne, oprócz miejskich, nałożono opłatą 5-kopiejkową na dochód Czerwonego Krzyża.

— Milioner amerykański, Carnegie, kupił za 750 tys. f. ster. obszerne dobra w Anglii, w których wybudować ma olbrzymie sanatoryum.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty przyznało wychowańcom szkół realnych prawo wstępowania do uniwersytetów, po zdaniu ułatwionego egzami-[illegible]

Wiadomości naukowe. Komisya, powołana przez Radę uniwersytetu warszawskiego do ocenienia dzieł lekarskich, nadesłanych na konkurs im. Chojnackiego, przyznała nagrodę (900 rb.) dr. Gabryczewskiemu za pracę p. t. „Bakteryologia lekarska."

Literatura i prasa. Redakcya *Gazety Rzemieślniczej* zawiadamia, że wydawnictwo, dla braku poparcia, zostaje zawieszone.

— B. dozorca więzienia w Doi na Sachalinie, A. Feldman, oskarżył o potwarz znanego publicystę W. Doroszewicza, który w „Obrazkach sachalińskich" opisał, jak Feldman karmił więźniów niedopieczonym chlebem, zgniłą rybą i ćwiczył ich rózgami bez wyboru. Sąd uniewinnił Doroszewicza, ale senat, z powodów formalnych, wyrok ten uchylił. Obecnie izba sądowa w Odesie rozpoznawała ponownie tę sprawę i ponownie oddaliła skargę Feldmana.

— W Krakowie od Nowego Roku wychodzić będzie nowe pismo p. t. *Świat słowiański*, pod redakcyą dr. Feliksa Konecznego.

Ze sztuki. W Towarzystwie Zachęty otworzono doroczną wystawę obrazów i rzeźb artystów polskich.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa pozwoliło na utworzenie Towarzystw rolniczych w Warszawie, Kaliszu, Lublinie, Piotrkowie i Radomiu.

— Centralny komitet statystyczny ogłasza, że w okresie pięcioletnim podatki bezpośrednie powiększyły się w 50 guberniach Rosyi europejskiej o 33.45%, a w 10 guberniach Królestwa Polskiego o 38.60, pośrednie w Rosyi europejskiej o 33.95, a w Królestwie Polskiem o 92.74. W r. 1894 podatków bezpośrednich na jednego mieszkańca przypadało w Rosyi europejskiej 89 kop., w Królestwie Polskiem 1 rb. 81 kop.; podatków pośrednich w Rosyi europejskiej 5 rb. 59 kop. a w gub. Królestwa Polskiego 9 rb. 12 kop. Podatki te są tylko częścią opodatkowania Królestwa, istnieją bowiem jeszcze opłaty gubernialne, t. zw. fundusze specyalne, na utrzymanie zarządów gminnych, szkół elementarnych, sądów gminnych, opłaty bożniczne i miejskie. Na rzecz kasy miejskiej na jednego mieszkańca w Warszawie wypada 8 rb. 80 kop., w Moskwie 8 rb. 16, w Petersburgu 8 rb. 6 kop. Miasta te na szkolnictwo elementarne, bezpłatne, z dochodów swoich wydatkują: w Petersburgu 6.94% sumy ogólnej, w Moskwie 6.58; w Warszawie najmniej, bo tylko 2.58. Dlatego też, według danych statystycznych, w r. 1897 Petersburg, z ogólnej liczby mieszkańców płci obojej, miał analfabetów 38.3%, Moskwa 45.4, Warszawa 50.6, Łódź zaś 60.5 Na szpitale i zakłady dobroczynne Moskwa wydatkuje 19.37% sumy ogólnej budżetu, Petersburg 19, a Warszawa tylko 2.08%.

—W Petersburgu zakładają akcyjny Bank rzemieślniczy, z którego korzystać będą wyłącznie rzemieślnicy. Posiadać ma filie w Warszawie, Moskwie, Charkowie, Kijowie, Odesie, Ekaterynosławiu, Niżnym i Kazaniu.

— We Lwowie utworzono „Związek wynalazców polskich" w celu pielęgnowania myśli twórczej w dziedzinie techniki, przemysłu i rękodzieł, oraz dopomagania wynalazcom w urzeczywistnianiu ich pomysłów.

Poczta. Z powodu zdarzających się wypadków opóźnienia wypłaty przekazów pocztowych dla braku pieniędzy w niektórych urzędach pocztowych, główny zarząd poczt w Warszawie zwrócił się do izb skarbowych z żądaniem powiększenia przeznaczonych na ten cel zaliczek.

— Od 14 stycznia r. p. wprowadzona będzie wymiana przekazów pocztowych z Luksemburgiem.

Zmarli. Wacław Tracewski, artysta-malarz, w War-[illegible]

— Wacław Gargulski, pedagog i b. przełożony szkoły prywatnej, w Warszawie.

— Maurycy Orgelbrand, b. księgarz i wydawca, w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu E. Sok. Za pamięć dziękujemy — dowodu jej jednak zużytkować nie możemy.

Pani K. O. Tom VI „Poradnika dla Samouków" wyjdzie w lutym. Będzie on właściwie uzupełnieniem tomu V, zawrze odpowiedzi na pytania czytelników oraz te wszystkie informacye, o które Pani pyta.

OFIARY.

— **W. N. z Daszewa na wpisy dla młodzieży rb. 25.**

— **Wład. Jaworski z Satanowa zebrane na polowaniu rb. 10 na wpisy lub na ubranie dla niezamożnych.**

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 2 Декабря 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.